Nr. 26 (1070). Warszawa, dnia 16 (29) Czerwca 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70. kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Przyszłość Niemiec.

Jeszcze w d. 16 b. m. stanął przed gmachem sejmu cesarstwa w Berlinie pomnik Bismarcka. Odsłonienie, jak wszystkie uroczystości z udziałem cesarza Wilhelma, miało charakter przeważnie dworski, sztywny, z góry odmierzoną ilość i jakość zapału — i niemal coś urzędniczego w sobie. Figury urzędowe: były prezydent sejmu, a czynny prezes komitetu pomnikowego, Levetzow, kanclerz Bülow — przemawiały, jakby malowały według patronów. Zdawkowe już zdania o twórcy jedności niemieckiej, zdawkowa prawda jego wielkości bez tego podkładu, jaki dać może tylko uniesienie ludowe — nie mogły sprawić wrażenia chwili podnoszącej serca nad poziom, co właśnie winno być i celem i skutkiem wszelkich podobnych uroczystości. Przy panującym w Berlinie na powierzchni życia publicznego szyku, takcie, czy purytanizmie monarchicznym, nawet skromne powołanie się na ten fakt dziejowy, że Bismarckowi to zawdzięczają Hohenzollernowie koronę cesarską — nawet ta cicha, potulna prawda, wydała się czemś niezmiernie śmiałem, nieledwie rewolucyjnem, zwłaszcza na ustach p. Bülowa.

We dwa dni później w Cuxhaven odbywały się regaty, wyścigi i zabawy żeglarskie na morzu. Po regatach odbył się obiad; cesarz Wilhelm, otoczony przedstawicielami marynarki i wojska niemieckiego, oraz mieszczaństwa miejscowego, miał wielką mowę, jak tylko on je układać i wypowiadać umie. Ziarno — mówił — wrzucone już w grunt: przyszłość spokojnie je wyhoduje. Nie mają wprawdzie jeszcze Niemcy godnej siebie floty, ale mimo to wśród białego dnia umieli wywalczyć sobie zwycięztwo. Coby to było za zwycięztwo i co za dzień biały— dostojny mówca nie powiedział. Po wywalczeniu — czuwanie nad handlem i produkcyą. Wypadki chińskie obdarzyły Europę długoletnim spokojem: powodzenie wspólne wzmocniło wzajemny szacunek. Wie cesarz, że obowiązkiem jego jest utrzymanie stanowiska zdobytego w świecie; nikt zresztą na stanowisko to nie napada. Hanza musiała upaść, bo nie miała za sobą wielkiej państwowej potęgi. Dzisiejsze Niemcy tę potęgę posiadły. W powszechnym pokoju, którego rękojmią jest ostateczne załatwienie sprawy chińskiej, zakwitną miasta niegdyś hanzeatyckie. Nowa Hanza znajdzie sobie nowe drogi i zdobędzie nowe krainy do zbytu. *Przyszłość Niemiec na morzu.* — Cesarz dawniej już przekonanie takie był wypowiedział; teraz powtórzył je z zacięciem bardziej ekonomicznem, niż militarnem; przemawiał więcej do kupca, niż do patryoty i żołnierza niemieckiego.

Trzeba być tak niedorzecznym, jak redaktor polityczny berliński, aby w mowie cesarskiej widzieć już rękojmię spokoju świata na długie lata. Rozsądek nie w niej więcej widzieć nie pozwala nad upust dany zadowoleniu z materyalnego pieniężnego powodzenia wyprawy do Chin, otwierającego drogę dalszych takich powodzeń na ogromnych obszarach morskich i lądowych Państwa Niebieskiego. Cesarz chciał powiedzieć, że wogóle Niemcy stają się coraz bardziej potęgą morską, choćby tylko dla celów handlowych, i że w tem jest ich przyszłość. Niewątpliwie wyprawa do Chin leży na torze wielkiej polityki ekonomicznej: ciesząc się z niej, można było i wielką ekonomiczno-handlową przyszłość na nią nawiązać. Tylko nie wolno nawiązywać „długich lat spokoju.“ Właśnie ten charakter handlu wojującego, wyraźny w wyprawie, nie pozwala na taką retoryczną zabawkę. Gdy inni rozpościerają się po świecie, to jest po morzach, rozpościerać się będą i Niemcy, a jeżeli co ma być nieuchronnym takiego współzawodnictwa skutkiem, to chyba nie spokój na długie lata. Owszem, na samym nawet gruncie chińskim już dotychczas wykiełkowałoby coś całkiem do spokoju niepodobnego. Polityka kupiecko-zamorska, kolonialna, musi doprowadzić do starć, jak prowadziła w w. XVIII. Kupiec, spokojny przy łokciu, jest zajadłym jak brytan, gdy mu chcą wydrzeć towar, który mógł mieć darmo. Kupiec duchem swoim zwolna przejmuje politykę. Kartagina była państwem kupieckiem i jest niem w znacznej mierze Anglia, będzie cała Europa: sprawdza się, do czasu, słowo Laurenta: *L'avenir du monde appartient au paisible marchand.*

Zapewne, w tej przyszłości kupieckiej będzie i polityczna, właściwa, nie mrowisku społecznemu, które jeśli chce żyć, musi mieć handel, wciąż w górę rosnący, ale mocarstwu, które potrzebuje wywierać swą potęgę; lecz nie na morzach szukać trzeba rdzenia przyszłości politycznej Niemiec, choćby polityka kolonialna jak najbardziej się rozrosła i „długie lata spokoju“ miała sobie poręczone przez cesarza Wilhelma. Przyszłość Niemiec, o wiele istotniejsza i świetniejsza od tamtej, jest na lądzie, tu w Europie, nie potrzeba po nią płynąć za morze. Ta przyszłość, to Au-

stryą, Habsburgom zabrana, Hohenzollernom dopisana do inwentarza dóbr ziemskich, stale już od Albrechta' Niedźwiedzia *per fas et nefas* zdobywanych. Tę i taką przyszłość przypomina cesarzowi Wilhelmowi monachijski *Odin*, samym już swoim tytułem, a lepiej jeszcze słowami podbijającemi w nim dumę wielkiego monarchy. „Miliony Niemców! zjednoczcie się nareszcie. Wolf i Schönerer idą już w przedniej straży; za nimi i wojsko niemieckie wyruszyć powinno z niemieckiego cesarstwa.“ Ruch „Los von Rom!“ szerzyć trzeba usilnie, a przytem dążyć do wytworzenia związku celnego Europy środkowej, tj. Austryi i Niemiec. Jeżeli hołota feudalna w Wiedniu stawi opór, nie odnawiać już trójprzymierza: wróg powinien mieć to, co się wrogowi należy. Po zwaleniu Austryi potrzeba się raz na zawsze rozprawić z Polakami, z centrum katolickiem, z papiestwem, z Żydami, z demokratami socyalnymi przez uchwalenie surowych praw powściągających. Wtedy dopiero powstaną wielkie Niemcy—cel marzeń *Odina*. W Europie tedy, na lądzie jest przyszłość Niemiec i ze strony tryumfów, i ze strony niebezpieczeństw. Są one, te niebezpieczeństwa, jeszcze dalekie, ale nadciągną. Mogą je do czasu równoważyć i z przed oczu usuwać tryumfy — nie zażegna ich nic.

POMNIK BISMARCKA.

Berlin, w czerwcu.

Dnia 16 czerwca, w południe, odsłoniono pomnik, wzniesiony „niemieckiemu sumieniu.“ Tak bowiem w sposób dość trafny przezwał ktoś w swoim czasie ks. Bismarcka, tego samego męża stanu, który zbudował gmach jedności niemieckiej rękoma, zbroczonemi we krwi Danii, Szlezwig-Holsztynu, Austryi, Hanoweru, Brunświku, Hessen-Nassau, Francyi i Polaków. W pikelhaubie, zsuniętej na tył głowy niby jarmułka, z pałaszem w ręce, jak gdyby chcąc zamachnąć się na wrogów ojczyzny, stoi owo „sumienie niemieckie“ z ogromnie nasrożoną miną, odwrócone nieprzyzwoicie tyłem do demokratycznego gmachu sejmu Rzeszy, z ręką, spoczywającą na dokumencie, który przypomina sfałszowaną depeszę emską.

Przedewszystkiem razi nieboszczyka sam widok, odsłaniający się przed jego oczyma. Tuż naprzeciwko, z wierzchołka „Pomnika zwycięztwa“ z r. 1870, córka Bleichrödera w postaci anioła, pokazuje światu złoty wianek, przypominając o pięciu miliardach, zabranych przed trzydziestu laty Francuzom. Dalej, po lewej stronie, ciągnie się „Aleja zwycięztwa“ z kilkudziesięcioma pomnikami brandenburskich margrafów, książąt, kurfürstów itd., pomnikami tak gustownymi, iż sędziwy historyk Mommsen zemdlał przed miesiącem na ich widok. Gdyby zaś Bismarck chciał odwrócić głowę, to, jak się rzekło, ujrzałby sejm Rzeszy, ten sam, którego obecny prezes, hr. Ballestrem, podczas jednej z cynicznych, obelżywych i pełnych kłamstwa mów Bismarcka, krzyknął na cały głos: „Pfui!“ (Fe!), wskutek czego mówca chwycił za pałasz, chcąc porąbać na kawałki protestującego deputowanego. Ta sama instytucya odmówiła nadto w r. 1895 większością głosów uczczenia 80-ej rocznicy dymisyonowanego kanclerza.

Ale jeszcze z innych powodów dąsa się Bismarck. „Dlaczegóż—zdaje się on zapytywać — dopiero teraz, w trzy lata po śmierci, stolica niemiecka wznosi mi pomnik?“ Wszak dziś panuje w Niemczech zwyczaj stawiania różnym osobom pomników jeszcze za życia. Tak np. Wilhelm II zamówił niedawno dla siebie posąg do „Alei zwycięztwa,“ wyobrażający go jako mówcę. Już w r. 1879 w Kolonii, tym tak zwanym Rzymie niemieckim, „uwieczniono“ Bismarcka w marmurze za jego ściganie i tępienie katolickich „wrogów ojczyzny.“ A tymczasem stolica niemiecka dziś dopiero pada na kolana przed jego cieniem. Czemu? — zapytuje Bismarck. Przyczyna tego zapoznania jest wszakże bardzo prosta. Od roku 1891 na dworze niemieckim ciężyła łapa mastodanta.

Przedewszystkiem, gdy podał się do dymisyi, uczynił to w sposób arcyimpertynencki. Wręczył bowiem, ustępując z urzędu, memoryał o nietykalności konstytucyi i jej wyższości ponad wszelkich przedstawicieli rządu, poczem opuścił zamek z okrzykiem: *Le roi me reverra!* Osiedliwszy się następnie we Friedrichsruhe, miotał nieustannie na dwór berliński całe skały gniewu, jak oślepiony cyklop Polyfem na odjeżdżającego Odyseusza. Siecią szpiegów otoczył on ministrów i krzyżował ich plany za pomocą rozrzuconej po całych Niemczech prasy „gadzinowej.“ W swym hamburskim organie nicował każde słowo, wypowiedziane przy dworze. Przyjmując deputacye, podszczuwał przeciwko rządowi, zwłaszcza przeciw Capriviemu, a Friedrichsruhe stało się ogniskiem frondy agrarnej. Przez czas pewien nosił się nawet z myślą postawienia swej kandydatury do parlamentu, aby w Izbie prawodawczej rozbijać w puch i ośmieszać przedstawicieli rządu. Wogóle nie wzdragał się przed żadnymi środkami, aby rządowi nalać sadła za skórę. Tak np. w przystępie gniewu szatańskiego, chcąc poskłócić Niemcy z Austryą, dokonał znanej rewelacyi traktatu tajnego, zawartego pomiędzy Rosyą i Niemcami.

Gdy dwór, chcąc go przebłagać, przysłał mu słynną butelkę niezwykłego wina „Steinberger-Cabinet,“ wypił je razem z Hardenem, skazanym na 9 miesięcy fortecy za *crimen laesae majestatis*. Obdarzono go tytułem herooga Lauenburskiego, ale on odrzucił ten objaw łaski, oświadczając, iż woli pozostać przy starym tytule książęcym. Jego śmiałość nie znała wprost granic. Gdy Wilhelmowi I rząd wzniósł pomnik i nadał mu tytuł „Wielkiego,“ Bismarck w sposób cyniczny zataczał się ze śmiechu. Gdy zaś w mowie, wygłoszonej przy odsłonięciu pomnika, nazwano żelaznego księcia „posługaczem“ (Handlanger), wyrwał sobie klasyczny trójwłos z głowy. Ale nie dość tego. Jeszcze w grobie i ze świata cieniów dręczy on dwór pruski w osobie członków dynastyi. Gdy dwór berliński przybywa po śmierci „herooga“ do Friedrichsruhe, trumna, zawierająca szczątki, była już szczelnie zamknięta. Gdy Wilhelm II wyraża życzenie ujrzenia zwłok po raz ostatni, godny swego ojca syn Herbert oznajmia szczerze, iż sprzeciwiałoby się to woli ojca. Wtedy to nadeszła z Friedrichsruhe do Berlina owa słynna depesza: *Ich musste mich wie ein Schuster behandeln lassen* („Musiałem się zgodzić, aby mnie traktowano jak szewca“). W rok później ukazują się pamiętniki Bismarcka, których myśl przewodnia streszcza się w aforyzmie: *L'etat c'etait moi*. Co zaś gorsza, przedstawiciel dynastyi, Herbert, zapowiada ostentacyjnie trzeci tom o stosunku Bismarcka do rządów „nowego kursu.“ Przytem daje do zrozumienia, iż tylko otrzymawszy tytułem odczepnego stanowisko kanclerza lub tekę ministra, zawiesi na pewien czas ogłoszenie tego steku obelg i potwarzy. Dwór berliński dotychczas nie dotrzymał obietnicy, spisanej w tajnym cyrografie, a prasa bismarkowska w Monachium, Hamburgu, Lipsku i Berlinie, miota się zaciekle z powodu krzywdy, wyrządzonej pamięci „wielkiego kanclerza.“

Stosunki pomiędzy Bismarckiem a rządem były po r. 1891 tak naprężone, iż przez czas niejaki samo wymienienie nazwiska Bismarcka równało się obrazie majestatu. Pamiętną jest wrzawa, powstała

---

[illegible]

POCAŁUNEK.

Siostra Filomena, dotykając zaledwie ustami kraty konfesyonału, pokornie zaczęła:

— Ojcze, ja nie jestem pewna, czym zgrzeszyła. Czasami sumienie wyrzuca mi ten grzech, ale są i takie chwile, kiedy go zupełnie nie uznaje. Jednak cierpię więcej, ojcze, gdy sumienie moje grzechu nie uznaje, niż kiedy mi go wyrzuca.

Spowiednik nie zrozumiał.

— Wytłomacz się jaśniej, córko moja, wytłomacz się jaśniej. Przypomnij sobie o wszystkiem. Ty jesteś taka młoda... W osiemnastu latach nikt się nazbyt z sumieniem nie liczy... Zdaj się na mój sąd. Bóg mnie oświeci. Jestem w wielkim niepokoju. Mów-że więc, mów...

— Oto, ojcze mój, cała prawda. Około północy, z poniedziałku na wtorek, numer 7-y, w piątej sali, gdzie od czasu swego wejścia do szpitala zastępowałam siostrę Maryę, otrzymał ostatnią pociechę religijną. Lekarz dyżurny oznajmił, że niema już żadnej nadziei. Powiedział mi, że konanie będzie krótkie i śmierć nastąpi prawdopodobnie przed północą. „Nie będzie bardzo cierpiał, dodał doktór — jednak gdyby zaszła tego potrzeba, proszę mnie wezwać bez ceremonii. Innymi chorymi niema się co zajmować, nie sprawią kłopotu ani mnie, ani siostrze.“ — I poszedł spać. Miałam co pół godziny dawać choremu łyżeczkę lekarstwa, już przygotowanego. Usiadłam na zwykłem miejscu przy jego łóżku i myślą zaczęłam się modlić za uchodzącą duszę...

— Za czyją duszę?

— Tego biedaka, który umierał.

— A więc to był mężczyzna?

— Czyż nie mówiłam ci tego, mój ojcze?

— Mówiłaś mi o numerze 7-ym, jeżeli się nie mylę, a numer 7-y, córko moja, nie ma płci. Więc idźmy dalej.

— Było już około trzeciej po północy, kiedy on głosem słabym, przerywanym rzężeniem, szepnął: „Siostro Filomeno, już nadchodzi.“ Od północy pogrążony był w zupełnem milczeniu, prawie uśpiony. „Odwagi bracie“ — wymówiłam cicho — „odwagi!“ Wtedy bardzo powoli, z trudem wymawiając całe wyrazy, ciągnął dalej: „Jestem gotów. Choć to smutno bardzo umierać, mając zaledwie 25 lat, lecz poddaję się temu. Może to lepiej. Byłem sam, byłem biedny. Myślałem, że jestem poetą, a nie byłem niczem. Myślałem, że byłem kochanym, a nikt mnie nie kochał. Gdybym teraz nie miał ciebie, siostro, obok siebie, umarłbym opuszczony, jak w jakiej pustyni.“ Tu zamilkł, a ja powtórzyłam: „Odwagi, bracie, Pan jest z tobą.“ Po kilku chwilach spostrzegłam, że jego oczy niebieskie, głębokie zaszły łzami. Naraz zapytał mnie: „Czy chcesz, siostro, zrobić mi jedną łaskę“? Ja na to: „Wszystko, co w mej mocy, bracie.“ A on: „Chcesz, siostro, bym umarł w pokoju? Bym zeszedł z tego świata, błogosławiąc Stwórcę“?

— Tak powinien umierać każdy dobry chrześcijanin—odpowiedziałam.

— Bardzo dobrze.

— Pomóż mi, siostro, abym nim został— dodał z wielką słodyczą. — „W jaki sposób, bracie“? A on: „Pozwól, żebym prze-

w Filharmonii, gdy po wykonaniu 3-ej symfonii Beethovena słynny kapelmistrz Bülow zapewnił uroczyście publiczność, iż gdyby dziś zmartwychwstał Beethoven, to poświęciłby swe dzieło nie Napoleonowi, lecz żelaznemu księciu. W roztargnieniu swem, co zresztą często się zdarza muzykom, Bülow zapomniał, iż symfonia trzecia nazywa się Eroica, a nie Banditica. Słowem, jeśli Bismarck cieszył się długo reputacyą wyklinanego „wroga ojczyzny," to jest to niezaprzeczenie jego własna wina: wrogom ojczyzny nie stawia się pomników!

A jednak—*audiatur et altera pars.* Czyż—zachodzi pytanie — współczesny rząd Niemiec nie zawdzięcza całej swej mądrości temu, którego specyficznie zrozumiane zasługi usiłuje zatrzeć i obniżyć. Wszak wiemy, iż wszystkim mężom opatrznościowym po kolei — że tu wspomnimy tylko czciciela bicza i dyscypliny, Stumma, klasycznie chorego na uwiąd mlecza pacierzowego Miquela i wreszcie pięknego jak marzenie kanclerza Bülowa — narzucano gwałtem honorowy przydomek Bismarcka nr. 2. Nie jest tajemnicą, iż od chwili pogodzenia się dworu berlińskiego z Bismarckiem, ten ostatni odbierał wizyty bardzo a bardzo dostojnych osób, chcących zasięgnąć jego rady. Widzimy dalej, jak rząd niemiecki, po krótkim okresie zapędów liberalnych Caprivicgo, powraca coraz wyraźniej, niby do swej pierwszej miłości, ku tradycyi Attyli pruskiego. Czem były wszelkie ustawy szkolne, antyprzewrotowe i antystowarzyszeniowe, jeśli nie lichą imitacyą praw wyjątkowych Bismarcka? Czem owo duszenie i tratowanie nogami Polaków, jeśli nie dalszym ciągiem słynnych rugów, udoskonaleniem zasad, tkwiących w bismarkowskiej komisyi kolonizacyjnej. Nawet płaszczenie się przed ultramontanami i zawieranie z nimi targów politycznych jest tylko wnioskiem z taktyki politycznej Windhorsta. Co prawda, rząd od czasu ustąpienia Bismarcka sfabrykował co niemiara własnych ustaw wojskowych, ale modele tych produktów są przecież dziełem rąk Bismarcka. Trudno zaprzeczyć, iż rząd niemiecki rozszerzył terytoryum państwa niemieckiego, nabywając tu i owdzie kilka marnych szmatów ziemi kolonialnej i przedsięwziął wyprawę do Chin.

Ale i pod tym względem rząd obecny naśladował Bismarcka, lub kończył to, co ten był zapoczątkował. Bismarck bowiem stworzył pierwsze kolonie niemieckie, a chińskiemu biskupowi Anccrowi kazał zapisać się do matrykuły konsulatu, aby można go było w razie potrzeby „obronić." A więc on już marzył o „Wielko-Niemczech." Mimowoli zatem nasuwa się przypuszczenie, iż obecni sternicy nawy państwowej Niemiec, jak to czynią zwykle plagiatorzy, ukrywali przed ogółem oryginał, ażeby nie zdradzić swej nicości i nie ośmieszyć swej megalomanii. Cała uroczystość pomnikowa sprawiała to wrażenie, jak gdyby naśladowcy Bismarcka wtłaczali jego bądź co bądź niezdawkową postać w Prokrustowe łoże miernoty i tuzinkowości. Gdy obecnie każdy najbardziej nikły wypadek odbywa się z niesłychaną pompą, sceneryą romantyczną, paradami i salwami, gdy w takich razach Olimp i bogowie germańscy podają sobie ręce, aby utworzyć korowód krasomówczy, uroczystość odbyła się jakoś cicho i skromnie. Kanclerz Bulow mówił coś niecoś o Goethem, Schillerze, a nawet pozwolił sobie przywołać z pól Elizejskich światłą postać Fichtego, ojca niemieckiej teoryi społecznej i obrońcę „praw rewolucyi"; opowiadał on dalej, iż według Peryklesa nienawiść nie cieszy się długowiecznością i tylko głupcy mogą twierdzić, jakoby Bismarck nie popełnił błędów; iż przyszłość Niemiec spoczywa na barkach Hohenzollernów — i tyle. Potem dzieci odśpiewały hymn, w którym wykreślono strofę pierwszą, jako zbyt przesadną. Tym razem, rzecz dziwna, rząd wykazał wstręt do superlatywów. Później złożono wieńce u stóp pomnika. Najbardziej zwracał na siebie uwagę wieniec Wilhelma II z napisem „Wielkiemu słudze wielkiego cesarza," przyczem dwa pierwsze wyrazy raziły swemi olbrzymiemi rozmiarami. Potem nastąpiły odględziny pomnika i jego symbolicznych figur. Między temi ostatniemi zasługuje na uwagę kobieta, tratująca wichrzycielską panterę i sowa, napadana przez (polityczne) ptaki drapieżne. Twórca pomnika, wbrew propozycyi Bulowa, nie otrzymał wcale orderu, tem słuszniej, iż w młodzieńczym zapędzie wyciosał ongi biust Ferdynanda Lassala, również „wroga ojczyzny."

H. F.

Tydzień polityczny. Senat francuski uchwalił d. 22 b m. prawo o stowarzyszeniach, tak iż nic już nie przeszkadza wprowadzeniu go w życie. Nic stała się wolności wielka krzywda przez skrępowanie stowarzyszeń religijnych, które mają przywileje dla innych, przeciwdziałających, niedościgłe, a przy stałom pochyleniu się ku monarchii, pośrednio zagrażają rzeczypospolitej. Wielki ich majątek, o ile nie będzie przez dobroczyńców napowrót zabrany, pójdzie na robotników. Francya weszła już stanowczo na drogę socyalizmu państwowego, obmyślanego przez Bismarcka: myśli o poprawie losu robotnika i tak jak Bismarck spodziewa się go od socyalizmu oderwać. Właśnie teraz Izba rozpoczęła obrady nad bardzo pracowicie, rozważnie, a bez ciężarów nowych dla społeczeństwa, jedynie tylko z lekkiem obciążeniem kapitału przemysłowego ułożonym projektem rządowym pensyj wysłużonych dla ludu pracującego w przemyśle. Jednoczesne wprowadzenie podatku dochodowego uzupełnia obraz tych ulepszeń, które pozwolą republikanizmowi zostawić dobrą po sobie pamięć w chwili, gdy się losy jego spełnią i do steru Francyi dorwie się idea nie nowa, z nienowymi, bo już teraz gotowymi ludźmi.

Jednym z tych już gotowych jest pan margrabia Lur-Saluces. Dopominał się on koniecznie sądu na siebie i mimo roztropności rządu, dostrzegającego zasadzkę — postawił na swojem: stoi przed sądem senatu, domaga się nawet większego, uroczystego kompletu — aby mieć większą scenę i słuchaczów liczniejszych, a stąd więcej wrzawy dającej propagandę. Zwykle oskarżony się broni; ten się oskarża, ten gwałtownie skazanym być pragnie. Współwyznawcy jego polityczni, skazani Habert i Deroulede daremnie się klną, że oni sami tylko chcieli zwalić rzeczpospolitą owego 23 lutego 1899 r.: margrabia twierdzi, że zbrodniarzem był właśnie on. Rzecz prosta, dowód to niemocy i chęć nabrania siły przez męczeństwo. Ale w poczet męczenników to już chyba senat francuski margrabiego nie zaliczy.

Zanardelli wygrał ostatecznie sprawę w Izbie o ogólną politykę rządu. D. 22 b. m. Izba odrzuciła 264 głosami przeciwko 184 naganę, wniesioną przez Riccia. Mowa pierwszego ministra w obronie monarchii konstytucyjnej była też głosem szczerej wolnomyślności, która silniej jeszcze przemówiła w późniejszej mowie ministra skarbu, Giolittiego, w obronie syndykatów robotniczych. Wreszcie wskazówką dobrych dążeń jest zajęcie się Sycylią, z której dotychczas dyabeł tylko miał pociechę.

Poznańskiemu i Prusom zachodnim, zagrożonym przez hakatyzm, zagroził jeszcze głód. Niebezpieczeństwo musi być poważnem, jeżeli trzej ministrowie pruscy, z prezesem regencyjnym, landratami i urzędnikami ekonomicznymi, na gruncie, choć to grunt potępiony, bo polski, odbywali narady i uradzili 3 miliony marek na przyszłe obsiewy, a minister skarbu nakazał łagodność w ściąganiu podatków.

Sejm galicyjski obradować ma nietylko do 7-go, ale do 14-go lipca: dawno już nie miał szczęścia tak długich narad. Oprócz kolei i spławów najważniejsze są włości rentowe jako dźwignia i wspora własności drobnej. Poseł Olesiński zażądał katedr rusińskich na uniwersytecie; wniosek odesłano do komisyi.

Cesarz Franciszek powrócił dnia 18 b. m. z Czech do Wiednia. Przesadzają znaczenie tej wycieczki. Po darach kulturalnych była ona uprzejmością towarzyską. Polepszenia się stosunków oczekiwać od niej nie można, choćby ją

---

stąpił bez żalu próg życia, które pozostawiam. Pozwól, żebym poniósł ze sobą w przyszłe życie pamięć twej niewysłowionej dobroci! Siostro Filomeno, miej litość nad umierającym... Daj mi pocałunek!"

— Pocałunek!?...

— Odwagi, bracie! — powtórzyłam znowu— przygotuj się do pocałunku nieba!

— Bardzo dobrze!

Zbierając jednak ostatnie siły, biedak prosił:

— Uczyń tę łaskę! Czyż nie pojmujesz, siostro Filomeno, że to będzie dla mnie zbawieniem? Czy chcesz mieć wieczne wyrzut sumienia?

— A ty?... A ty?..

— Ojcze, te słowa tak strasznie mnie przeraziły! Myślałam, że on, umierając tak rozgoryczony, pozbawiony wszelakiej pociechy i wspomnień chwil jasnych w swem krótkiem życiu, mógłby łatwo narazić się na wieczne potępienie. Myślałam, że sumienie potępiłoby i mnie również. Sądziłam, że śmierć nastąpi przed wschodem słońca, że każda, upływająca, chwila była jednym krokiem więcej do, zbliżającej się, śmierci. W ciszy nocnej słyszeć mogłam coraz trudniejszy jego oddech. W sali było zaledwie kilku chorych, którzy spali nieporuszeni. Lampy słabo migotały. Białe łóżka, w półcieniu, robiły wrażenie grobów. On czekał. Uczucie głębokiej melancholii owładnęło mną całą. Spojrzałam naokoło. Pochyliłam się nieco i... pocałowałam go. Zdało mi się, iż wyszeptał: „dzięki." I spokojnie rozpoczęłam nanowo przerwaną modlitwę.

— A gdzież go pocałowałaś? — zapytał niespokojnie spowiednik, starając się jednak przyciszonym tonem mowy pokryć wielkie wzburzenie.

— Ojcze, było prawie ciemno — odpowiedziała ze spokojem siostra Filomena — lecz zdaje mi się, żem go pocałowała w usta.

— Nieroztropność wielka! Co najmniej nieroztropność! Rozumiem dobrze, żeś to zrobiła w jak najlepszym celu. Ty, córko moja, poszłaś za głosem uczucia litości chrześcijańskiej, czyn godny podziwu, lecz błędny. Powiem nawet, że niebezpieczny! Gdybyś go była pocałowała w czoło zamiast w usta, byłoby to o wiele lepiej. I byłoby w zupełności wystarczyło dla uratowania jego duszy. Zresztą pocałowałaś człowieka prawie już umarłego...

— Właśnie i ja to samo sobie mówię.

— A teraz, kiedy już na dobre umarł i pogrzebany, requiescat in pace i nie zajmujmy się nim więcej.

— Nie, ojcze, tak nie jest. On żyje.

— Żyje?!...

— Ależ tak. Biedak był umierający aż do świtu. Pierwsze promienie słońca nieco go pokrzepiły. Doktór dyżurny, wchodząc do sali, nie mógł ukryć zdziwienia przed chorym, na którego ustach błąkał się słaby uśmiech. Obejrzał go uważnie i powiedział mi półgłosem:

— Dziwne, doprawdy, może się uda zwyciężyć chorobę.

— Ależ to prawdziwa klęska!— wykrzyknął raptownie spowiednik.

— Ojcze, co mówisz?!

— Eh, niema się co łudzić. Jeżeliś ty, siostro, pocałowała w usta człowieka żyjącego, który ma żyć nadal, ja doprawdy nie wiem, jak na to będzie można zaradzić. Ze śmiercią za drzwiami, to zupełnie co innego. Wszystko dałoby się jakoś zała-

tylko uważać za symbol. I symbolem nawet czegoś nowego ona nie jest. Przewaga Czechów w uroczystościach praskich raczej dawną podsyci nienawiść. Wyjście dać by mogło tylko najdoskonalsze równouprawnienie; ale ani jedni, ani drudzy temi drzwiami z zamętu wyjść nie chcą. Siły, którаby ich zmusiła, niema. Nad Niemcami, nad kwiatem ich, „Alldeutsch," czuwają Niemcy; Czechom nie daje pogodzić się z rzeczywistością husytyzm, który w nich odżył; czarować też wielu z nich nieprzestaje i panslawizm. „Los von Rom" Niemców łączy się z „Los von Wien." Berlin nad tem czuwa, aby to hasło nie scichło. Zadanie rządu centralnego jest niesłychanie trudne, a wołanie o wielkiego człowieka w Austryi zrozumialsze i szczersze, niż gdzieindziej. Tymczasem wszystko zasadza się na utrzymaniu równowagi. Przestrzegał jej cesarz austryacki tak skrupulatnie, że na 80 wyrazów czeskich w odpowiedzi Srbowi, nadburmistrzowi, wymówił 78 czy 79 niemieckich. Takimi fatałaszkami nawet ratować się trzeba, bo do nich obie strony wielką przypisują wagę.

Transwalczycy wpadli znowu do Przylądka; ma ich być 10.000: liczba dla Anglików. Dzielny lud broni się i spełnia swą powinność. Historya niczego więcej nie chce

ŻYCIE SPOŁECZNE

Zakłady naukowe a lud górnośląski.

Jak zgubnie i wynaradawiająco działają wpływy szkoły ludowej i wogóle zakładów naukowych i wychowawczych na polski lud górnośląski, a zwłaszcza na dorastającą młodzież, najlepiej pojmiemy, przypatrzywszy się rozwojowi umysłowemu i przeobrażeniom w poglądach na świat młodego Ślązaka, który z syna chłopa lub robotnika wychodzi na najwyższe w pojęciu ludu stanowisko społeczne — księdza. Obserwacya taka będzie miała dla nas tę dogodność i korzyść, że ułatwi nam zrozumienie dziwnego na pozór a rozpowszechnionego na Górnym Śląsku zjawiska, że przeważna część duchowieństwa, mimo swego pochodzenia polskiego, stacza z ruchem polskim zaciekłą walkę na korzyć germanizacyi Ślązka.

Śląsk pruski, według spisu duchowieństwa dyecezyi wrocławskiej, liczy mniej więcej 400 księży „utrakwistów," to znaczy władających językiem niemieckim i polskim. W tej liczbie najwyżej 60 nie sprzeciwia się ruchowi polskiemu; z tych znowu najwyżej 25 sprzyja temu ruchowi i przyznaje się szczerze do narodowości polskiej. Reszta duchowieństwa, to skryci lub otwarci germanizatorowie.

Według obliczenia procentowego, mamy więc na Śląsku pruskim 15% księży, tolerujących dążności polskie, a z tych mniej, niż połowę, bo na ogół tylko 6%, szczerych Polaków.

Zważywszy, że na Górn. Śląsku mieszka około miliona Polaków-katolików, każdego nieobeznanego z tamtejszymi warunkami społeczno-politycznymi zadziwić musi ta anomalia w stosunku duchowieństwa do ruchu narodowego, zwłaszcza że duchowieństwo samo pochodzi przeważnie z ludu i że ruch, o ile istnieje, jest ruchem ludowym.

Jedną z głównych przyczyn tej anomalii, jak zaznaczyliśmy już niedawno, jest ów brak tradycyi narodowej wśród samego ludu; do dalszych jej przyczyn zaliczylibyśmy germanizowanie za pomocą zakładów naukowych i nacisk germanizacyjny ze strony władzy duchownej i świeckiej.

Z obojętnością ludu dla spraw narodowych łączy się głęboki podziw dla wszystkiego, co niemieckie. Ogłupiany w młodości w szkole najbezczelniejszymi fałszami historycznymi, w późniejszem zaś życiu zmuszany do ciągłego stykania się z władzami niemieckiemi i patrzenia na niemieckie również wyższe warstwy społeczne, przeciętny Ślązak doprowadzony został do błędnego mniemania, jakoby wszystko, co zajmuje wyższe stanowiska urzędowe lub społeczne, z konieczności musiało być niemieckiem. Mamy na Śląsku setki tysięcy ludzi, którzy z podziwem i niedowierzaniem patrzą na człowieka wykształconego, przemawiającego do nich w języku polskim. Nie mniej jest takich, co nie mogą sobie wyobrazić chłopa lub robotnika, któryby nie mówił po polsku. Przypomina mi się tu nader charakterystyczny i zarazem smutny wypadek, którego sam byłem świadkiem. Pewien młodzian, pochodzący z polskich rodziców a nieznający szerszego świata, ukończywszy szkoły średnie, zdziwił się ogromnie, gdy we Wrocławiu na ulicy usłyszał robotników, rozmawiających z sobą po niemiecku. Naiwna jego wyobraźnia kazała mu myśleć, że wszyscy robotnicy na Śląsku muszą porozumiewać się między sobą w języku polskim.

Tak więc lud polski na Śląsku przeobraził się, a raczej został w znacznej części przeobrażony w swym poglądzie na świat i życie w pojedyncze stadka baranów, gotowych za pierwsze lepsze stanowisko w hierarchii społecznej wyzuć się z cuchnącego nizkiem pochodzeniem kożucha polskiego, a przywdziać wilczą skórę niemiecką.

Nie dziw więc, że przy wrodzonej ludziom chęci dotarcia do wyższego stanowiska z jednej strony, a z powodu głębokiej religijności i wynikającego stąd niezmiernego szacunku dla duchowieństwa z drugiej, jedynem życzeniem zamożniejszego Ślązaka jest, by mógł zobaczyć kiedyś syna swego przy ołtarzu i na kazalnicy.

Ojciec oddaje więc syna do gimnazyum, nie wszczepiwszy w niego ani iskierki poczucia narodowego, dając mu jedynie na drogę tę chrześcijańską radę, by się dobrze uczył i był swym przewodnikom we wszystkiem posłuszny.

Syn wypełnia sumiennie wskazówki rodzica. W szkole dowiaduje się, jak wielkim „dobroczyńcą" był i jest dla swych poddanych rząd pruski. Zaczyna się teraz wyrabiać w chłopcu patryotyzm pruski, a zatem i niemiecki, wzmagający się w miarę umysłowego rozwoju ucznia. Historya polska zohydzona i sfałszowana, język polski wystawiony na pośmiewisko i drwiny, wszystko to wzbudza w młodzieńcu wstyd przed kolegami szkolnymi i potęguje w nim chęć przerobienia nietylko siebie, ale rodziny całej na Niemców. Przestaje więc mówić po polsku i używa języka ojczystego bardzo niechętnie, jedynie gdy go do tego zmusza konieczność, np. gdy bawi w domu rodzicielskim podczas wakacyj.

Następują studya uniwersyteckie. Wstąpiwszy do „konwiktu teologicznego," czyli do seminaryum duchownego, młody kleryk dowiaduje się, że musi się wprawdzie uczyć języka polskiego, potrzebnego do przyszłego zawodu, ale że nie wolno mu brać czynnego udziału w „agitacyi wielkopolskiej" lub utrzymywać stosunki z ludźmi, podejrzanymi o tę „zbrodnię." Wzmacnia to w nim już utrwalone przekonanie, że jako ksiądz będzie musiał w przyszłości paraliżować wpływami swymi ów niebezpieczny dla wielkości Niemiec ruch narodowo-polski, zwłaszcza że księża-profesorowie uczą, iż lud śląski będzie o wiele szczęśliwszym, gdy się zniemczy, bo wtenczas o wiele łatwiej będzie mu otrzymać pracę i dobić się intratnych posad i stanowisk. Takiemi wycieczkami w dziedzinę życia praktycznego okrasza swe wykłady z teologii moralnej ks. prof. Krawutsky.

Z tymi poglądami opuszcza młody ksiądz zakłady naukowe, obejmuje pełen zapału, w świeżem poczuciu swej godności kapłańskiej, stanowisko duchownego na prowincyi i bierze od początku swego pasterstwa dusz czynny udział w życiu polityczno-

---

godzić. Ale tak jak jest, niema rady. W jakiż ty straszne zamieszanie chcesz wprowadzić wspaniałomyślność nieba. Mówmy otwarcie. Pozory należy wszędzie zachować!

I po chwili rozmyślania spowiednik badał:

— Powiedz mi, siostro Filomeno, co to za człowiek ten wasz doktór?

— O, to bardzo zdolny człowiek.

— Lecz jako lekarz—czy bardzo zdolny?

— Jeden z najzdolniejszych.

— A dzisiaj chory jak się miewa?

— Ma się o wiele lepiej.

— Jesteś zgubiona!

— O Boże mój!

— I śmiesz jeszcze wzywać Jego imię?

— Jestem wielka grzesznica, ojcze!

— Niegodna nosić ten habit!

A kiedy siostra Filomena wybuchnęła rzewnym płaczem, spowiednik postanowił przemawiać nieco łagodniej:

— Jednak ja nie mogę się zoryentować. Tyś mnie przed chwilą zapewniała, że kiedy sumienie nie wyrzuca ci grzechu, cierpisz więcej, niż kiedy odczuwasz go. Jakże jest możliwą podobna sprzeczność uczuć?

— I cóż ci odpowiem, ojcze? Czuję to, co czuję, i wyznaję ci to otwarcie.

— A żałujesz tego, coś popełniła?

— Jeżeli to jest tak wielkim grzechem, muszę koniecznie żałować.

— Nie spodziewaj się jednak, bym cię teraz rozgrzeszył. Poczekajmy kilka dni. Kto wie!.. Zobaczymy, jaki obrót weźmie choroba tego młodego człowieka i zastosujemy się do tego, co wypadnie. Idź! idź! Nie chcę cię dziś dłużej słuchać. A kiedy będziesz się zbliżać do jego łóżka, rumień się zawsze. Rozumiesz?

— Zawsze się rumienię, ojcze.

— Bardzo ci to chwalę.

* * *

Po kilku dniach siostra Filomena powróciła do spowiednika

— A więc, jak się miewa numer siódmy?

— Zdaje mi się, że się ma coraz lepiej.

— Jakież więc jest zdanie lekarzy?

— Mówią. . że wyzdrowieje.

— Widzisz więc, siostro, że dla ciebie nie ma ratunku!

— Właśnie powiedziałam to jemu.

— Cóżeś mu powiedziała?

— Powiedziałam mu, że z jego powodu jestem zgubiona i że gdybym była przypuszczała, iż będzie żyć, nigdy nie byłabym mu dała tego pocałunku!

— A cóż on tobie powiedział, ten urwipołeć?

— Odpowiedział mi, że nie chce mej zguby i że w tym wypadku on sam postara się o uratowanie mej duszy.

— Naturalnie, że byłby ją uratował, umierając!

— Właśnie też, ojcze, on mi poprzysiągł, że tego samego dnia, kiedy się dowie o swem zupełnem wyzdrowieniu, zabije się dla mnie.

Jak grom spadła na spowiednika ta nowa komplikacya.

Zamyślił się chwilę i wreszcie wyrzekł stanowczo:

— Wziąwszy wszystko pod uwagę, lepiej, żebym cię rozgrzeszył. Obawiam się bowiem, że jeśli ten urwis zacznie znowu umierać, będziemy w nowym kłopocie.

Przekład *Leokadyi Matuszyńskiej.*

społecznem ludu. Zresztą najlepszym wzorem postępowania praktycznego świeci mu jego najwyższy zwierzchnik w dyecezyi, J. E. ks. kardynał Kopp, książę-biskup wrocławski.

Alfą i omegą w polityce tego księcia kościoła względem narodowości polskiej jest zdanie, że naród polski, a zwłaszcza Ślązacy polscy, winni się zupełnie zasymilować z narodem niemieckim. Kopp, jeszcze jako biskup Fuldy, oświadczył w pruskiej Izbie panów, że jako patryota niemiecki sympatyzuje ze środkami eksterminacyjnymi rządu pruskiego i nie widzi, aby się one sprzeciwiały interesom kościoła.

Gdzie więc germanizacya nie sprzeciwia się interesom kościoła, tam dalej na narodowość polską, bez względu na to, czy to jest sprawiedliwie, czy nie! To też ks. Kopp, zasiadłszy na stolicy biskupstwa wrocławskiego i rozejrzawszy się po dyecezyi, zaczął wymierzać swe pociski przeciw Polakom. Zmusił księży do wystąpienia ze związków i towarzystw polskich na Śląsku pruskim; wymógł na cesarzu Franciszku Józefie pozwolenie założenia w Widnawie na Śląsku austryackim konwiktu, by za pomocą tej instytucyi niemczyć chłopców polskich; zakazał księżom na Śląsku austryackim prowadzenia korespondencyi w języku polskim, mimo że tego języka używano jako obowiązującego w urzędach świeckich; samodzielnych księży-Polaków wysyła z Górnego Śląska w głąb Niemiec, by ich odsunąć od „agitacyi wielkopolskiej“; od jednego z nich wymógł przy zezwoleniu na objęcie lepszego probostwa górnośląskiego, przysięgę, że nie będzie uprawiał „agitacyi wielkopolskiej“; zakazał słuchaczom św. teologii wyjeżdżać w czasie wakacyj w odwiedziny do księży lub rodziny w W. Ks. Poznańskiem, odbierając im tem samem możność nabycia ogłady towarzyskiej, wydoskonalenia się w języku ojczystym i zapoznania z polskiem życiem, z polskimi zwyczajami i obyczajami; oświadczył nauczycielom ludowym, że jedynie oni są prawdziwymi jego przyjaciółmi, bo tylko oni szerzą germanizacyę w szkole ludowej itd. itd.

Patrząc na tego rodzaju niemieckie wyskoki ks. kardynała, niektórzy z duchownych potrząsają ze zdziwieniem głowami, lecz takich, niestety, jest tylko szczupła garstka. Natomiast ogół kleru śląskiego idzie śladami swego zwierzchnika i mistrza tem chętniej, że cięto wystąpienie przeciw ruchowi narodowemu polskiemu zaskarbia łaskę i względy nietylko władzy duchownej, ale i świeckiej i otwiera widoki na najlepsze beneficya, awans w hierarchii kościelnej i ordery pruskie.

Dla uzupełnienia podanego tu szkicu dodać jeszcze trzeba, że w tej samej mierze i w ten sam sposób germanizuje się inteligencya świecka, pochodząca z ludu. Nie posiadam wprawdzie danych statystycznych, lecz mam mniej więcej dokładne pojęcie o liczbie młodych ludzi, opuszczających corocznie szkoły średnie, bądź ze świadectwem dojrzałości, bądź też tylko z upoważniającem do jednorocznej służby wojskowej — więc młodzież, z pośród której rekrutują się inteligentni urzędnicy i t. zw. zawody wolne, jak lekarze, adwokaci itp. Nie przesadzę, zdaje mi się, jeżeli powiem, że dziesięć gimnazyów górnośląskich wydało w ostatnich dziesięciu latach przynajmniej 400 takich młodych ludzi, pochodzących z ludu polskiego.

Lud śląski wychowuje sam sobie germanizatorów, bo zniemczony Ślązak jest zawziętszym nieprzyjacielem narodowości słowiańskiej, niż rodowity Niemiec. Człowiek taki, chcąc zatrzeć wszelkie ślady swego pochodzenia, naciera jak najsurowiej na narodowość polską, germanizuje najpierw swych krewnych, a w dalszym ciągu swych podwładnych; pisownię nazwiska swego wykoszlawia, pisząc się np. zamiast „Zając“ — „Saions,“ „Przybyła“ — „Przibilla,“ częstokroć też, jeśli zna znaczenie swego nazwiska, tłomaczy je na niemieckie, jak to np. uczynił znany autor „Soll und haben,“ przeobrażając się z polskiego „Piątka“ na „Freitaga.“

Juranek.

Wystawa wychowawcza w Paryżu.

Paryż, 21 czerwca.

W pierwszych dniach maja, po długiej i szkaradnej zimie tegorocznej, rozjaśniło się nareszcie niebo i razem z długo oczekiwanymi promieniami słońca wiosennego otwarto podwoje mniejszego Pałacu sztuki, w którym zgromadzono to wszystko, co roztacza urok tak pokrewny wiośnie — urok dzieciństwa! Nie dziw przeto, że wystawa zyskała sobie odrazu powodzenie i że zamiast wytykać jej wady, każdy starał się odnaleźć zalety.

Inicyatorami tej wystawy byli: zamiłowany znawca zabawek, Leo Claretie, oraz adwokat Rollet, znany na bruku paryskim obrońca i opiekun małoletnich przestępców. Zawezwali oni do współudziału wszystkie wybitne osobistości świata politycznego, artystycznego i literackiego, arystokracyi i mieszczaństwa, słowem tych wszystkich, którzy przyczynić się mogli do powodzenia przedsięwzięcia. Być może, właśnie dlatego, że do komitetu weszły tak różne, tak odmiennie myślące jednostki, wystawa nie posiada charakteru jednolitego i systematycznego. Przeciętny widz nie odniesie korzyści pedagogicznej, a jednak zgromadzono tam dużo ciekawych rzeczy, które, rozrzucone w prywatnych zbiorach, nie mają wcale znaczenia, a zebrane i uporządkowane w muzeum z pewną myślą przewodnią, stałyby się nader cennym materyałem dla wychowawców.

Wystawa obejmuje sześć działów: 1) wychowanie i wykształcenie; 2) hygiena i zakłady dobroczynne; 3) opieka moralna; 4) prawodawstwo; 5) sztuki piękne; 6) muzeum dziecięce. Już samo wyliczenie tych działów nasuwa przypuszczenie, że zbyt to obszerne ramy, aby można było jednakowo je uwzględnić i w każdym z nich dać widzowi wyczerpujący obraz położenia. Założenie takie jest prawie niemożebne do osiągnięcia, a z tego względu byłoby może praktyczniej poprzestać na jednym dziale, np. zabawek, i zgromadzić je, wedle możności, ze wszystkich krajów.

Rozpocznijmy wędrówkę naszą od szkolnictwa i wychowania. Dział ten nie daje wcale wyobrażenia o obecnym stanie szkół we Francyi, potrzebaby na to zająć cały pałac, a nie dwie sale, to też zakłady naukowe rządowe i miejskie nie wzięły wcale udziału i jedynie prywatni wystawcy-nauczyciele skorzystali ze sposobności pokazania swych metod nauczania, oraz tablic do nauki poglądowej. Przybyły w tym dziale obecnie tablice poglądowe do nauki moralności i obyczajności. Zasługuje też na uwagę działalność lig antyalkoholicznych w stosunku do dziatwy szkolnej. Wystawiły one sporą biblioteczkę szkolną antyalkoholiczną, szereg wydawnictw peryodycznych, przeznaczonych specyalnie dla dzieci i młodzieży (*L'etoile bleue*, *La jeunesse* itp.), oraz wykaz licznych stowarzyszeń szkolnych antyalkoholicznych. Tuż obok mieszczą się tablice poglądowe dr. Galtier-Boissiere'a do nauki hygieny, wykazując zarazem szkodliwe skutki alkoholizmu. Dwie znane specyalistki, Bres i Koenig, nadesłały szereg zajęć ręcznych dla młodzieży i dziatwy; największe zajęcie budzi jednak witryna Tom Tit'a (pseudonim inżeniera A. Good'a), którego pomysłowość w wytwarzaniu zabawek z rozmaitych rzeczy bezużytecznych jest istotnie niezrównaną. Założył on niedawno t. zw. *Oeuvre des bons jeudis*, mające na celu dostarczanie dziatwie w dni wolne od pracy szkolnej — we czwartki — zajęcia przyjemnego i pedagogicznego. Pomysł jego tak się spodobał Towarzystwu hygieny dziecięcej, że obdarzyło ono Good a dyplomem honorowym. Nie poprzestając jednak na wystawieniu modeli i chcąc istotnie przekonać rodziców i wychowawców, że dziecko może wykonać samo te wszystkie przedmioty z korków, kasztanów, piór, słomy, łupin orzecha, pestek, miał kilka lekcyj wobec zebranej publiczności, wzywając do wykonania doświadczeń dzieci, towarzyszące w danej chwili rodzicom.

Jeśli jednak francuskie szkolnictwo świeckie nie wzięło udziału w wystawie, to za to skorzystała ze sposobności najpotężniejsza kongregacya, utrzymująca aż 2,015 zakładów wychowawczych męzkich, znana pod nazwą *L'Institut des freres des ecoles chrétiennes*. Istnieje ona od r. 1680 i liczy obecnie około 20,000 członków. Ma ona w swych rękach: 1,580 szkół elementarnych niższych i wyższych we Francyi, a 515 w koloniach francuskich i za granicą; 32 szkoły średnie we Francyi i 15 za granicą; 51 szkół normalnych, 12 rolniczych, 42 zawodowych i 82 handlowych. W zakładach tych kształci się ogółem 350,000 uczniów. Ma ona nadto 350 t. zw. *patronages*, tj. instytucyj, przeznaczonych do zbierania młodzieży szkolnej i rzemieślniczej w dnie świąteczne. Uczęszcza do nich 32,572 chłopców. Prócz tego kongregacya zakłada stowarzyszenia byłych uczniów (21,000 członków), przyjmuje młodzież na mieszkanie — słowem, 400,000 młodych mózgów, dzięki tej jednej kongregacyi, wzrasta pod wpływem klerykalizmu i wstecznictwa.

Z wystawionych przedmiotów można się też doskonale zapoznać z całą potęgą finansową kongregacyi, jak również z panującym w niej systemem pedagogicznym. Szkoły niższe i średnie przedstawiły plany zajęć, rysunki i ćwiczenia; szkoły zawodowe — roboty mechaników, rzeźbiarzy, rytowników, snycerzy, litografów; szkoły handlowe — księgi buchalteryjne, schematy zajęć praktycznych; szkoły dla głuchoniemych — różne przyrządy, służące do nauki kolorów, czasu, rachunku itp., jako też roboty uczniów głuchoniemych — drukarskie, litograficzne, introligatorskie, krawieckie i szewckie.

Po za tem kongregacya ma jeszcze przytułki dla sierot oraz liczne instytucye, przeznaczone do „umoralnienia młodzieży“ i jej „wychowania społecznego.“ Instytucye te liczą do 50,000 członków czynnych. Jak dalece „umoralniającym“ jest wpływ „braciszków,“ jak pojmują oni „wychowanie społeczne,“ objaśnić może pierwszy lepszy kajet z ćwiczeniami, w których już siedmioletni malec wygłasza wyuczone zasady nienawiści i pogardy dla tego wszystkiego, co tchnie myślą wolną, co nie jest opatrzone stemplem zakrystyi.

Podobnym duchem przejęte jest pisemko dla dzieci, *Le Noel*, na które zwraca uwagę przechodniów krzykliwy fonograf. Tygodnik ten wychodzi staraniem *Maison de la bonne presse*, skąd też rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy pisma, noszące rozmaite tytuły, stosownie do tego, czy są przeznaczone dla sfer arystokratycznych, mieszczańskich czy robotniczych, ale mające zawsze jedną myśl przewodnią: rozwijanie fanatyzmu religijnego i nienawiść do urządzeń republikańskich, krzewienie kultu dla armii i duchowieństwa.

W dziale hygieny i zakładów dobroczynnych niewiele znaleźć można rzeczy pouczających lub ciekawych, zwłaszcza że filantropia wyparła niemal całkowicie hygienę. Tak zwane „damy z towarzystwa,“ bawiące się w dobroczynność, skorzystały naturalnie ze sposobności zwrócenia na

siebie uwagi, to też wszystkie niemal instytucye filantropijne, poświęcone dziatwie, zaprezentowały tu swą działalność, chwaląc się ilością rozdanej odzieży, zabawek, mleka sterylizowanego, wzrostem kolonij wakacyjnych i wysokością zapomóg dla matek. Obok tablic, fotografij i modeli, służących do zapoznania się z daną instytucyą, tu i owdzie ujrzeć można dyskretnie zawieszony obraz, przedstawiający schorowaną i nieszczęśliwą rodzinę nędzarzy, do której zjawia się, jak anioł z nieba, elegancka pani... z flaszką mleka! Bohaterstwo takie zasługuje przecie na uwiecznienie pędzlem artysty, dama owa będzie mogła, wyszedłszy z poddasza, pojechać ze spokojnem sumieniem do Paquin'a lub Redferna i obstalować sobie „sortie de bal" za 3,000 fr.!

Najliczniej reprezentowane są żłobki (creches), których Paryż posiada 60, lecz tylko niektóre z nich odpowiadają wymaganiom hygieny. Dają one pomieszczenie 2,000 dzieci, co w stosunku do potrzeb klasy pracującej stanowi zaledwie 32 na tysiąc.

Dobroczynność miasta Paryża wystawiła sporo ciekawych tablic, objaśniających z całą dokładnością o ilości i losie dziatwy, pozbawionej z jakichkolwiek przyczyn opieki rodzicielskiej. Zestawiając poglądowo system wychowawczy dawny z obecnym, stara się ona wykazać swe usiłowanie wprowadzenia wszelkich ulepszeń hygienicznych i wychowawczych, i dowieść, że Rada miejska robi, co może dla poprawienia losu nieszczęśliwej dziatwy. Istotnie też, jak świadczą tablice statystyczne, śmiertelność noworodków zmniejsza się stale i w roku ubiegłym wynosiła tylko 2,11%, a wykształcenie fachowe prowadzone jest coraz lepiej. Chłopcy w szkole d'Alembert'a uczą się stolarstwa, introligatorstwa, zecerstwa i litografii, w szkole Le Nôtre — ogrodnictwa, a w szkole morskiej Port Haltan — marynarki; dziewczęta zaś specyalizują się w szkole w Yzeure w krawieczczyznie, gorseciarstwie, hafciarstwie i zajęciach gospodarczych. Ilość ogólna wychowańców wynosi obecnie 46,793, w tej liczbie 38,870 dzieci opuszczonych i powierzonych opiece Dobroczynności, 2,674 podrzutków niewiadomego pochodzenia, 2,483 moralnie zaniedbanych oraz 2,766 sierot. Wysoką cyfrę dzieci dobrowolnie opuszczonych objaśnić należy tem, że wskutek wielkiej łatwości, z jaką Dobroczynność Paryża przyjmuje dzieci, nie żądając żadnych formalności, zjeżdżają do stolicy z całej Francyi matki, pragnące pozbyć się dziecka, a nawet znaczny procent cudzoziemek.

Budżet tego wydziału Dobroczynności wynosi 12.066.994 fr.

Szkoły dla głuchoniemych i ociemniałych przedstawiły tu okazy robót swych wychowańców, jako też liczny zbiór fotografij, odtwarzających chwile rozrywek, dostępnych dla tych nieszczęśliwych. Stowarzyszenie opieki nad ociemniałymi imienia Hauy nadesłało również obok wykazu działalności modele gier odpowiednich.

Nader pouczającą i ciekawą jest wystawa szkoły w Bicêtre, przeznaczonej dla epileptyków, idyotów i wogóle dzieci nienormalnych pod względem umysłowym. Zapoznać się tu można z całym systemem lekarsko-pedagogicznym wychowania oraz jego wynikami. Rzecz oczywista, że w tej dziedzinie jest bardzo wiele do zrobienia, gdyż badania, dokonywane nad dziatwą upośledzoną, datują się od niedawnych czasów. Niemniej jednak wiedza lekarzy, a z drugiej strony poświęcenie i idealna cierpliwość wychowawczyń, jak widać z wystawionych robót, dokonywują już rzeczy nadzwyczajnych. Chłopcy i dziewczęta przybywają do zakładu w takim stanie, że zdawałoby się, iż niepodobna uczynić z nich istot, mogących sobie radzić jako tako w życiu. A jednak powoli, stopniowo zatracają cechy zwierzęce, uczą się, jak trzeba się ubrać, jak jeść, jak zaspakajać swe potrzeby fizyologiczne; następnie zapoznają się z kształtem liter, z pojęciami ilości, koloru, form, dźwięków, zaczynają przy pomocy stopniowanych obrazów i tablic poglądowych, budować z trudem zdania pojedyncze, jednocześnie zaś uczą się szczotkarstwa, koszykarstwa, ślusarstwa, szewctwa, drukarstwa, krawieczczyzny, i oto stają się w końcu—z małymi wyjątkami — istotami zdolnemi do życia w społeczeństwie ludzkiem.

Drukarnia w Bicêtre wykonywa bez zarzutu znaczną ilość robót nietylko dla szpitala, ale i dla Towarzystwa Dobroczynności.

Zasługuje również na uwagę witryna Instytutu psycho-fizyologicznego, założonego z inicyatywy dr. Bérillon'a. Przedstawiono tu zbiór fotografij i opis doświadczeń, mających na celu zastosowanie metody hypno-pedagogicznej do leczenia różnych wad charakteru, jako też złych nałogów u dzieci. Przy instytucie istnieje szkoła psychologii oraz muzeum i laboratoryum.

Licznie reprezentowane są w tym dziale różne sanatorya dziecinne, z pomiędzy których szczególną sympatyą publiczności cieszy się sanatoryum w Ormesson dla dzieci, dotkniętych gruźlicą — może dlatego, że walka z gruźlicą jest teraz we Francyi na dobie. W ostatnich czasach zawiązały się stowarzyszenia, mające na celu rozpowszechnianie wiadomości, dotyczących zabezpieczenia się od zarazy, a tem samem zmniejszenia spustoszeń, dokonywanych przez tę chorobę, zabierającą we Francyi 150,000 ofiar rocznie. To też i tu „Société de preservation contre la tuberculose" zwiedzającym wystawę rozdaje darmo rady hygieniczne wraz z ogłoszeniem o konkursie (którego termin przypada 1 października r. b.) na wynalezienie najlepszego sposobu rozpowszechnienia wśród publiczności zdobytych przez naukę danych, a mianowicie: że gruźlica jest zaraźliwą, że jest uleczalną i że każde plwociny uważać należy za podejrzane.

(D. n.).

Iza Zielińska.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Ofiarność a potrzeby.

Przed kilkunastu dniami pisma podały trzy wiadomości. Jedna brzmi: „P. Reszke z powodu wygranych na torze wyścigowym 20,000 rb., ofiarował 2,000 na zakład ks. Siemca." Druga — z Moskwy: „Sołodownikow w testamencie polecił akcye, papiery i majątek nieruchomy sprzedać; z kapitału otrzymanego wypłacić krewnym od 50 do 300 tys. rb., a resztę, wynoszącą *przeszło trzydzieści milionów*, podzielić na trzy części i przeznaczyć na cele dobroczynne. Jedną trzecią zapisał na założenie gimnazyów żeńskich, jedną trzecią na szkoły zawodowe męzkie i żeńskie, których założenie ma być poruczone ziemstwom. Resztę majątku przeznaczył na budowę tanich mieszkań dla ubogich." Trzecia: p. Sołdatnikow (z Moskwy) zastrzegł w testamencie, aby prowadzono dalej jego działalność wydawniczą i ofiarowywano wydania różnym zakładom naukowym. Pozostawił fundusze dla Cesarskiej Akademii nauk na zbadanie historyi Wschodu, komitetowi pomocy dla studentów niezamożnych, szpitalom i ochronom; moskiewskiemu Towarzystwu kupieckiemu zapisał 1,300,000 rb. z warunkiem, ażeby kosztem 300,000 rb. zbudowano, a z miliona rubli utrzymywano szkołę fachową. Nadto zapisał znaczną sumę na szpital dla wszystkich chorych bez różnicy stanu.

Oczywiście, hojność p. Reszkego wobec ofiary Sołodownikowa i Sołdatnikowa staje się prawie niedostrzegalną; ale trudno wymagać od naszego sportsmana, ażeby się mierzył pod względem bogactwa z kupcami rosyjskimi. Nie o sumę wszakże nam chodzi w danej chwili, lecz o istotę ofiarności. Zakład Siemca jest instytucyą bardzo pożądaną, pożyteczną i sympatyczną; ale nad jej uposażeniem pracuje wiele osób i zbiera dość liczne ofiary. Dar więc p. Reszkego jest poparciem instytucyi powszechnie faworyzowanej. Ten jeden fakt nie zawierałby w sobie nic szczególnego, gdyby był *jedynym*. Niestety, w dziedzinie naszej filantropii i czynów natury społecznej spostrzegamy niejednokrotnie to wielce znamienne zjawisko. Ofiarodawcami lub zapisodawcami najczęściej są ludzie stojący zdala od potrzeb społeczeństwa i jego istotnych niedomagań życiowych. Patrząc przez wązkie okienka swego ciasnego świata z wysoka, widzą oni tylko szczyty gmachów i uważają za stosowne przyozdabiać je i uposażać. Stąd mamy ludzi hojnych, gdy chodzi np. o Pałac sztuki, Filharmonię itd. Natomiast nie mamy ich wcale, gdy np. chodzi o szkołę ogrodniczą dla włościan, o wpisy dla uczniów ubogich, wydalonych z powodu niezapłacenia prawa nauki, o środki pomocnicze naukowe dla młodzieży i wogóle o instytucye, mające na względzie naprawę warunków istnienia. Dzisiaj, wobec klęski nieurodzaju, naprawa tych warunków jest jeszcze pilniejszą. Gospodarstwo włościańskie chroma i ubożeje, folwarczne stacza się w przepaść, w oborach szerzy się gruźlica, na stacye bakteryologiczne, na organizacyę wogóle walki z chorobami zwierząt domowych niema środków. Coraz dotkliwszy brak koni roboczych powoduje również upadek gospodarstw.

Syndykat cementowy.

Założony dwa lata temu syndykat cementowy — jak wieści niosą — chyli się do upadku, gdyż prowodyrowie związku utworzyli sobie błędne koło, z którego nie wiedzą jak wyjść: zbyt pospiesznie i zbyt licznie zakładano nowe fabryki cementu, co wywołać musiało nadprodukcyę tego materyału i taką obniżkę cen, jaka zaledwie koszta fabrykacyi pokryć mogła. Wbrew zasadzie przyrody, że słabi ginąć muszą, starsze fabryki chciały sztuczną zwyżką siebie wzmocnić, a nowe towarzyszki podtrzymać. Rok ubiegły wykazał wszakże dla jednych i drugich straty, które przyczyniły się do wewnętrznych nieporozumień i niesnasek. Czy dalsza zwyżka cen, która na ogół ma przynieść 800,000 rubli, pomoże co, rzecz wątpliwa, bo przy tak wielkiej zwyżce ceny zmniejszy się znacznie spożycie: cement, gdzie można i gdzie nawet nie można, będzie zastąpiony wapnem, nadprodukcya zatem się powiększy i stan będzie taki prawie, jak przedtem. Duże i stare fabryki zmuszone będą zniżyć znacznie swą produkcyę, aby tylko umożliwić życie nowym. W taki sztuczny sposób żadna kwestya nie może być rozwiązana. Koszt produkcyi cementu w porównaniu z zagranicą jeszcze jest zbyt wysoki; dążyć trzeba do obniżenia własnych kosztów, by cenę rynkową zmniejszyć i tym sposobem rozpowszechnić użycie cementu. Najlepiej z tego zadania mogą się wywiązać fabryki dawne, o ustalonym stanie, o przeważnie zamortyzowanym kapitale zakładowym, rutynie robotnika i znacznej produkcyi, która koszty ogólne rozdrabnia. Wobec jednak ogra-

niczenia produkcyi — wskutek syndykatu — te dodatnie strony rzucenia na rynek taniego a dobrego towaru ustają. W rezultacie stare fabryki nic nie zyskają, spożywcy zaś, a właściwie społeczeństwo zapłaci milion rubli rocznie dla podtrzymania fabryk, powołanych do życia przez namiętność do naśladownictwa tych, którzy, niestety, nowych dróg dla swoich kapitałów znaleźć nie mogli lub nie chcieli. Czas zatem wielki, by syndykat zamknął swe podwoje i nie wyciągał bezprodukcyjnie grosza z kieszeni społeczeństwa.

Ed. D.

Jubileusz Rapackiego.

W ciągu ostatnich lat paru mieliśmy na scenie warszawskiej szereg obchodów jubileuszowych zasłużonych aktorów. Był to z jednej strony słuszny wyraz uznania i wdzięczności ogółu za talent i pracę tych wyjątkowych synów Apollina, którzy za życia odebrać muszą wszystkie wieńce i usłyszeć wszystkie oklaski, bo, z chwilą gdy głos ich przestanie rozbrzmiewać wobec publiczności, za grobowym progiem — czeka ich mniej lub więcej głuche zapomnienie. A z drugiej strony jest to rodzaj ostrzeżenia pod adresem kierowników sceny, że oto jej najwybitniejsi pracownicy, stanowiący ogniwa łączne między świetną przeszłością naszego teatru a jego dobą obecną, zerwali już lub zrywają jubileuszowe wawrzyny zasług, że więc czas najwyższy pomyśleć poważnie o wynalezieniu im lub wytworzeniu szeregu godnych następców...

Znakomitym przedstawicielem świetnej tradycyi sceny warszawskiej, którego nazwisko przywykliśmy wymawiać obok imion Królikowskiego, Żółkowskiego, Bakałowiczowej i Modrzejewskiej, jest właśnie Wincenty Rapacki. W ubiegłym tygodniu teatr obchodził czterdziestolecie pracy scenicznej zasłużonego artysty. Wystawiono przy tej sposobności jego „Wita Stwosza“ i złożono u stóp aktora i autora wiele cennych darów i wieńców, a pisma codzienne podniosły jego zasługi i przypomniały ważniejsze chwile życia.

Nie powtarzając za niemi mniej lub więcej znanych szczegółów, zaznaczymy tylko, że był to jeden z najzasłużeńszych hołdów, należny zarówno wybitnemu i wiele wymagającemu od siebie talentowi, jak i niezmordowanej pracy, której w ciągu lat czterdziestu przyświecała zawsze, jak gwiazda, idea możliwie najzupełniejszej prawdy w sztuce. Rapacki, jak obliczają, stworzył około pięciuset ról, a choć dźwiga na barkach lat sześćdziesiąt, pozostał pełnym życia i energii i zapewne długo jeszcze pracować będzie w ukochanym zawodzie. W wielu rolach zresztą jest on do dziś dnia niezrównany, i nieprędko zapewne znajdzie się artysta, któryby równie świetnie, jak on, odegrał takiego np. Vauclin'a w „Safandułach,“ pana Jowialskiego lub Jana Kazimierza.

Ale Rapacki zajmuje wśród kolegów-artystów wyjątkowe pod innym względem stanowisko. On jeden może śmiało spoglądać w oczy przyszłości i nie obawiać się zapomnienia: jako powieściopisarz i dramaturg zajął w literaturze miejsce zaszczytne. W dziełach swych, w których malował niejednokrotnie ścieranie się prawdy z fałszem i dążeń do światła z mrokiem wszechwładnym, pozostawi przyszłości wierną swą podobiznę duchową, pozostawi pomnik trwały, który go niewątpliwie przeżyje... *ich.*

Muzeum rzemiosł.

Instytucya ta, istniejąca już rok dziesiąty, na zebraniu ogólnem, odbytem w b. m., ogłosiła owoce swej działalności, które poniekąd pozwalają nam wyciągnąć pewne wnioski o roli i znaczeniu tego ogniska. Ma ono na celu przedewszystkiem naukę rysunku, tudzież wykształcenie gustu artystycznego uczęszczających do sal rysunkowych, tj. wypełnienie luk bardzo wyraźnych w wykształceniu fachowem naszych rzemieślników. Czy je wypełnia istotnie? Przyjrzyjmy się danym. W salach Muzeum można studyować następujące rodzaje rysunków: ręczny, graficzny, ornamentacyjny, dekoracyjny, architektoniczny, rysunek maszyn, nadto malowanie na wszelkich materyałach, a także modelowanie ornamentów i figur. W roku ubiegłym uczęszczało do sal rysunkowych 216 mężczyzn i 180 kobiet (razem 396 osób). A oto stosunek według fachu: mularzy i cieśli około 80; z pomiędzy młodzieży rzemieślniczej: ślusarzy 34, malarzy pokojowych 23, tokarzy żelaza 22, cyzelerów 22, rzeźbiarzy 16, stolarzy 15, grawerów 9, sztukatorów 9, mechaników 8, litografów 6, elektrotechników 4, lakierników 4, rysowników 4, fotografów 3, traserów 3, po dwu: buchalterów (?), jubilerów, kotlarzy żelaza, malarzy porcelany, pozłotników i złotników; po jednym: blacharz, bronzownik, kaligraf (?), kamieniarz, muzyk (?), optyk, rymarz, tapicer, technik, telegrafista (?), tkacz i zdun. Z zestawienia tych cyfr widzimy na ogół sumę poważną około 400 uczniów i uczenic. Te szczegóły atoli świadczą, jak jeszcze słabo śród naszych rzemieślników jest rozwinięte poczucie potrzeby rysunku. Na olbrzymio rozwinięty ruch budowlany wraz z ornamentyką znalazło się zaledwie 9 sztukatorów, *jeden* murarz, *jeden* zdun, którzy uznali za rzecz niezbędną naukę rysunków. Również skromny procent fachowców, odczuwających tę potrzebę, widzimy i w innych działach. To też wyroby i roboty naszych rzemieślników pod względem artystycznym pozostawiają wiele do życzenia. Bądź co bądź jednak, Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej do przemysłu zaczyna wyrabiać coraz większą popularność, a urządzona obecnie wystawa prac uczniów i uczenic daje dobre świadectwo zarówno instytucyi, jak i jej uczniom. Z pośród nich wybrano sporą garstkę celujących i wydano im upominki, na które złożyło się kilku protektorów instytucyi. Jest to środek pedagogiczny, obliczony na wywołanie bodźców ku nauce. Muzeum posiada swoją bibliotekę, dotąd dość jeszcze skromną (91 dzieł w 979 tomach), a nadto zbiory okazów i modelów, które mogą mieć wielkie znaczenie jako środek kształcący. Warto, ażeby nasz ogół szczerzej poparł tak pożyteczną instytucyę.

BADANIA NAUKOWE.

PRZESZŁOŚĆ W TERAŹNIEJSZOŚCI.

Pod powyższym tytułem p. Ignacy Radliński — uczony, któremu Benedykt Dybowski powierzył językoznawcze opracowanie swych notat, dotyczących ludów syberyjskich — wydał „Zbiór dociekań i rozważań społeczno-ekonomicznych“ *), drukowanych poprzednio w różnych pismach polskich. Tytuł, jak zresztą wiele tytułów, ma charakter konwencyonalny. Uznając bowiem za „teraźniejszość“ współczesną cywilizacyę europejską tylko, powinniśmy, zgodnie z treścią książki, pod pojęcie „przeszłości“ zakwalifikować: i widome, namacalne szczątki przedhistorycznego bytu człowieka, odnajdywane w głębiach lub na powierzchni ziemi, i ludy innych części świata, pozostające dotąd na niższych stopniach kultury, i zabobonne, krytycznie niesprawdzone wierzenia, które mistycy lub szarlatani usiłują z tamtych stopni kultury zapożyczyć i w Europie rozpowszechnić, i wreszcie powrót samej nauki o człowieku, po dopełnieniu przez nią całego cyklu rozwojowego, do starożytnego programu Hipokratesa, tylko w wyższej formie... Bez wątpienia, wszystkie te zjawiska połączone są nicią wewnętrznej, ścisłej współzależności. P. Radliński jednak nici tej nie odkrył, nie wykazał, nie stawiał sobie tego nawet wcale za cel i tyko zręcznie obranym tytułem podsuwa uważniejszemu czytelnikowi myśl o jej istnieniu.

Tytuł ten stosuje się dosłownie do czterech pierwszych artykułów, poświęconych poszukiwaniom człowieka w okresie trzeciorzędowym i ich dotychczasowym wynikom, stosunkowi człowieka do świata zwierzęcego w wieku kamiennym i zabytkom megalitycznym ludów pierwotnych. Te artykuły tworzą też razem pewną określoną całość, stanowiącą bezwarunkowo najlepszą część książki. Autor w sposób jasny, przystępny, znamionujący gruntowną znajomość rzeczy, językiem swobodnym i wykwintnym nawet, zapoznaje tu czytelnika z wynikami badań największych w tym zakresie uczonych: Lyella, Haeckla, Hovelacque'a, Gaudry'ego, Mortilleta, Quatrefages'a, Topinarda, Manouvriera, aż do szczęśliwego odkrycia przez Holendra Dubois, na wyspie Jawie w r. 1894, szczątków *Pithecantropus Erectus*, bezpośredniego poprzednika człowieka. Badania te dotyczą istnienia człowieka nietylko w okresie czwartorzędowym, ale nawet w dawniejszym, trzeciorzędowym, a więc przed milionami lat. Na tych kilkudziesięciu stronicach mamy nadto pouczającą historyę samych tych odkryć, badań i hypotez od r. 1863, z której dowiadujemy się, jak czynny udział wzięli w nich i jakie zasługi inicyatorskie położyli dwaj księża francuscy, Delaunay i Bourgeois. Z łona duchowieństwa francuskiego wyszedł też teolog, ks. Fabre d'Envie, który w dość dowcipny zaiste sposób usiłował pogodzić Biblię z temi odkryciami. „Nic nam nie przeszkadza utrzymywać, że rasy ludzkie, albo też inne zwierzęta, obdarzone rozumem, istniały podczas formowania się pokładów w trzech pierwszych okresach geologicznych. Zwierzę, obdarzone duszą rozumną, wieńczyło każdą rasę stworzeń. Istoty te miały swój czas doświadczenia; skoro tylko spełniły swe przeznaczenie ziemskie, Bóg je nagrodził lub ukarał. Gdy czas, przeznaczony dla ras, które nas poprzedzały, upłynął, Bóg zniszczył, spustoszył ich siedliska. Odnowiwszy następnie te siedliska pracą dni sześciu, stworzył nową rasę swoich wielbicieli...“ P. Radliński daje nam jednak nietylko te ciekawe wiadomości z historyi odnośnej literatury, ale na podstawie dzieł wymienionych autorów kreśli też obraz życia owego pierwotnego człowieka, wysuwając na pierwszy plan z należytem rzeczy zrozumieniem genezę narzędzi pracy i walki oraz schronisk, wykazując, jak pierwsze okrzesane kamienie, które były tylko wzmocnieniem pięści ludzkiej lub zaopatrzeniem jej w sztuczny pazur na wzór naturalnych pazurów zwierząt, stały się zarodkiem strzały, kuli, młota, dłuta, igły i wszystkich wogóle narzędzi, jak menhiry i dolmeny przerodziły się w obeliski i piramidy, w kolumny, posągi i — pałace. Konieczność obrony przed zwierzętami pobudza człowieka do wynalazku pierwszych narzędzi; materyał podręczny — kamień, drzewo — dostarcza mu ich; gdy zaczyna wreszcie przechowywać, a potem — wywoływać ogień, zdobywa możność opierania się częściowego zgubnym wpływom przyrody, sztucznego przystosowywania się do nich bez narażania na zbyt wielkie zmiany swych własnych organów. Tej to zdolności, nabytej w okresie trzeciorzędowym, kiedy klimat tylko sprzyjał człowiekowi, przypisuje Radliński za Quatrefages'em

*) Warszawa Kraków. Gebethner i Sp., 1901.

i ten podziwu godny fakt, że człowiek mógł przetrwać straszną epokę lodową w okresie czwartorzędowym.

Końcowy szkic książki (p. t. „Hipokrates i nowy zwrot w etnologii"), w którym autor wykazuje, że etnologia, przeszedłszy dwa okresy, etnograficzny i antropologiczny, wstępuje w nowy, zasługujący na nazwę *fizyograficznego*, a odpowiadający rzuconej już przez Hipokratesa myśli badania właściwości człowieka w związku z właściwościami otaczającej go natury, świadczy, że p. Radliński zdaje sobie sprawę z potrzeby stosowania tej samej metody, metody wysuwania na plan pierwszy narzędzi pracy i walki, wogóle techniki, i do badania ludów wyżej rozwiniętych, do objaśniania ich bytu. Podając bowiem za przykład kierunku fizyograficznego badania szkoły Le Play'a, a szczególnie dzieło A. de Préville'a o społeczeństwach afrykańskich i E. Desmolinsa o typach społecznych Francyi współczesnej, wskazuje nowy *czynnik pracy*, wprowadzony do tych badań, który sprawia, że „gdy typy Hipokratesa są wyłącznie przyrodnicze, typy nowych etnologów, będąc także przyrodniczymi, są zarazem już i typami społecznymi," i zaznacza bardzo trafnie, że z wprowadzeniem dopiero tego nowego, nie przyrodniczego już czysto, lecz ludzkiego, społecznego czynnika pracy, a więc—techniki i organizacyi, zaczyna się ewolucya typów, ciągły ich rozwój, przekształcanie się i przechodzenie w inne. Zastosowanie tej metody wytworzy też — kończy słusznie autor — nową filozofię historyi.

Niestety, wpływu tej rzeczywiście nowej, ale istniejącej już przecie w zarysach nowej filozofii historyi na podstawie ekonomicznej—nie znać w rozdziałach książki p. Radlińskiego, poświęconych ludom współczesnym na rozmaitych stopniach kultury pierwotnej. Wogóle, szkicom tym o Negrytach i Papuach, o Ainach, Andamanach, o mieszkańcach obu półwyspów indyjskich, Chińczykach, Korejczykach, Japończykach itd., zarzucić można pewną chaotyczność, brak zasady koordynacyjnej w kreśleniu ich losów i bytu; w szczególności zaś to, że za taką zasadę koordynacyjną nie zostały przyjęte — co przecież byłoby zgodne z programem, wygłoszonym w szkicu o Hipokratesie — warunki produkcyi i wznosząca się na nich organizacya własności i rodziny w każdem plemieniu. To pozwoliłoby też należycie objaśnić „idylliczne" poglądy nietylko Lapérouse'a i Beniowskiego, lecz i Benedykta Dybowskiego, na zalety ludów pierwotnych. Wyjątek pod tym względem stanowi szkic o Todach z gór Błękitnych, pozwalający mniej więcej zrozumieć, jakie przyczyny przyrodzone i gospodarcze składały się na obyczaje tego ludu; szkic ten wogóle wyróżnia się w tej części książki. Natomiast niewprowadzenie tej zasady koordynacyjnej i tego klucza do objaśniania zjawisk pociąga za sobą w większości wypadków obniżające wartość naukową artykułów uciekanie się do przyjętych przez przeciętną publiczność fikcyj o niezmiennych właściwościach rasy żółtej: „trzodowości instynktów," braku krytycyzmu i inicyatywy, bierności itp. Autor powtarza parokrotnie te fikcye, nie próbując ich nawet pogodzić z opisywanymi o kilka stronic dalej postępami Japonii, dokonanymi „za przykładem Europy."

Pomimo to musimy tym szkicom przyznać wartość informacyjną, która byłaby jednak większą, gdyby autor nie poprzestał na prostem przedrukowaniu swych artykułów, lecz przerobił je i doprowadził do ostatniej chwili. Tak np. Korea, wbrew przewidywaniom autora, uwydatniła swe niepodległe stanowisko, ogłosiła się cesarstwem i przygotowuje się w ostatnich czasach do mianowania własnych przedstawicieli przy rządach innych państw. Tak również, przy opisie posiadłości francuskich w Indo-Chinach, w takiej właśnie książce byłoby bardzo właściwem przytoczenie szlachetnego i rozumnego protestu następcy tronu kambodżyjskiego, księcia Jukantora, zaniesionego w roku zeszłym publicznie przeciw przymusowemu wprowadzaniu biurokratycznej i kapitalistycznej cywilizacyi europejskiej do krajów, zdobywanych w innych częściach świata, i rozkładowemu jej działaniu na odwieczne nieraz cywilizacye tych krajów.

W tym zakresie można wyróżnić i polecić wszystkim do czytania wielce pouczający artykuł p. t. „Pamiątki historyczne na Kamczatce."

Bardzo ciekawe są też dzieje wielkiego oszustwa, zorganizowanego przez „prorokinię" Helenę Bławatską: propagowania przez nią niby-indyjskiej, „okultystycznej" i „magicznej" doktryny przy pomocy łatwowiernych arystokratek paryskich.

Książka p. Radlińskiego ma przedewszystkiem — i niezaprzeczenie — sporą wartość popularyzacyjną. Przeniknięta jest nawskroś postępowym i wolnomyślnym duchem; wymownie i bezstronnie maluje tragiczny i niezasłużony los plemion pierwotnych przy zetknięciu się z „wyższą" cywilizacyą, dowodząc, że „przyroda nie jest przyczyną klęsk — a więc ludzie." Przez odsłonięcie szerokich horyzontów naukowych autor zwalcza w niej dogmatyczny geocentryzm, europocentryzm i antropocentryzm i wprowadza pojęcie względności wszelkich dogmatów. W należytem świetle przedstawia on działalność tych Europejczyków, co w „odkrywanych krajach usiłują zastąpić legendy mongolskie—legendami semickiemi" i uważając mieszkańców ich za niższych, prowokują ich i sprowadzają na nich krwawe kary za „błędy, wypływające z nieznajomości historyi i kosmogonii żydowskiej." Z drugiej strony, podnosi słusznie bezinteresowny zapał i bohaterstwo podróżników, pracujących tylko dla nauki, a rozszerzając widnokrąg myśli, zaopatruje ją jednocześnie w odpowiednią dozę niezbędnego krytycyzmu. Więc też możemy tę miejscami bardzo zajmującą i dostępną książkę polecić zwłaszcza młodzieży, którą zachęci ona do systematycznej w tych działach lektury i nauki.

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

Maksym Gorkij. *)

(Sylwetka).

> . . . Urodziła go
> Tęsknota w mroku nocy,
> Nocy bezsennych, samotnych...
> *Z rosyjskich pieśni ludowych.*

W teatrze moskiewskim zeszłego roku zdarzył się fakt dziwny. Przed samem przedstawieniem, oczekująca podniesienia kurtyny publiczność, poczęła gwałtownie bić oklaski i z zapałem wywoływać nazwisko, którego nie było na afiszu, które nie należało ani do autora sztuki, ani do żadnego z grających w niej artystów. Było to imię literackie człowieka, którego spostrzeżono przypadkiem w jednej z lóż. Podniosła się kurtyna, ale artyści na scenie nie mogli przyjść do słowa. Przypadkowy widz z loży zajmował uwagę ogólną. Krzyczano, tupano, bito oklaski.. i w gwarze rozbrzmiewało wyraźnie jedno słowo: „Gorkij!" — nazwisko, którego bodaj przed laty dwoma, trzema, jeszcze nikt z obecnych na sali nie słyszał. Człowiek, wywoływany w tak niewłaściwej chwili, ukrył się głębiej w loży. Nakoniec aby położyć kres niezwykłej owacyi, wychylił się ze swego ukrycia — ujrzano twarz młodą, ale noszącą piętno długich cierpień, znamię głębokiej a bolesnej zadumy, twarz człowieka z ludu, o rysach ostrych, oczach wązkich, szerokim nosie, grubych wargach, gorzko uśmiechniętych—i rzucił zebranym słowa niemal niegrzeczne, coś w rodzaju, że „nie jest primabaleriną ani primadonną, więc nie widzi powodu, aby go wywoływano." A publiczność nie obraziła się, podziękowała mu jeszcze oklaskiem — i wreszcie ucichła.

Kim był ten człowiek, którego powitano tak serdecznie i z takim zapałem? Kim był człowiek, który pozwolił sobie odpowiedzieć słowem niegrzecznem na entuzyazm, może nietaktowny, ale wspaniały zgodnością i wielkością porywu? Był to literat, nowelista i powieściopisarz, Aleksy Pieszkow, piszący pod pseudonimem „Gorkij," którego utwory ukazywać się zaczęły w r. 1892 w małej, prowincyonalnej gazecie, a od r. 1895 w miesięcznikach petersburskich. Zebrane razem wyszły w książkowem wydaniu w r. 1897 i dopiero wówczas stały się dostępne dla krytyki i szerszego ogółu. Od chwili tej upłynęło czasu niewiele, a utwory Gorkiego były rozchwytywane przez czytelników, wywołały potrzebę nowego wydania, stały się przedmiotem pochwał i studyów krytycznych w całej prasie rosyjskiej i zadzierzgnęły między autorem a publicznością węzeł gorącej sympatyi, ujawnionej niepowstrzymanie w owym wybuchu oklasków powitalnych. Tak szczęśliwego tryumfu literackiego, tak prędkiej i niezaprzeczanej niemal sławy literatura rosyjska nie pamięta. Niektórzy przypisywali ją niezwykłej biografii autora. Jest w tem ledwie mała cząsteczka prawdy. Tajemnicę uznania wyjaśnić może tylko fakt zjawienia się na widowni literackiej pierwszorzędnego talentu, niezwykłej organizacyi artystycznej, która potrafiła przemówić do serc i umysłów, wstrząsnąć potężnie duszami.

Dość przeczytać kilka urywków z opisów natury, szczodrze rozsypanych w nowelach Gorkiego, aby odczuć tchnienie ogromnego talentu. Kilka napozór niedbale rzuconych rysów, i przed okiem czytelnika roztacza się barwny obraz—bezdenna, błękitna przepaść nieba, w które Gorkij tak lubi patrzeć, albo bezdenny step z migocącymi w nocnej mgle stosami, w których świetle jaskrawem bohaterowie jego opowiadają sobie fantastyczne baśnie; lub wreszcie pieniące się, rozigrane morze... I czy to będzie step, czy wybrzeże morskie, czy wartko płynąca rzeka, prócz przepysznego malowidła, wszędzie odczuwamy właściwy nastrój obrazu; wszystko to jest pełne odrębnego życia, posiada tę tajemniczą, olbrzymią duszę natury, która stapia się z drugą, niezbadaną zagadką — bezbrzeżną duszą ludzką.

Przejdźmy się po widowni wielu nowel Gorkiego, po porcie odeskim, przyjrzyjmy się tłumom postaci, ubranych w łachmany, bosych, o twarzach koloru ziemi, z piętnem szarpiącego głodu, o rękach wychudłych, z mięśniami zerwanymi pracą, to znów żylastych, muskularnych rękach najmity, zajętych ciągnieniem lin okrętowych, noszeniem pak towarów.

Co myślą, co czują ci ludzie, z których cywilizacya wysysa siłę mięśniową, których potrzebuje, a przyznać się do nich nie chce i nie może? Czy ten tłum ma duszę? Ten i ów z pisarzy kusił się odmalować tych ludzi, ale czy pojął ich dobrze, czy nie melodramatyzował w swych opowieściach? Tylko „jeden z nich" mógłby o nich powiedzieć całą prawdę. I oto cud taki stał się — przez Gorkiego! Człowiek wielkiej gromady bezdomnych, nędzarz, przy

*) W dwu poprzednich numerach daliśmy w odcinku przekład jednej z pięknych nowel głośnego dziś pisarza rosyjskiego. Obecnie podajemy czytelnikom jego sylwetkę literacką. *Red.*

mierający głodem, najmita, ubrany w łachmany — mocą talentu wdarł się na szczyty kultury, przemówił — zajął i zachwycił!

Gorkij, według mnie, stał się w literaturze rosyjskiej świadomością ludzi nieuświadomionych, głosem tych, którzy milczą, albo niezrozumiale pomrukują, krzykiem z przepastnych nizin społecznych, obrońcą wydziedziczonych, żywem świadectwem ich ducha...

Ale w postaciach Gorkiego, po za szlachetną tendencyą i odtwarzaniem życia warstw niższych, znaleziono jeszcze coś więcej: przyniósł on z dołu coś, co było jaskrawem i wymownem odbiciem tego, co tkwi w górze... Rozkochanym w indywidualizmie podał przykłady dusz niezmiernie indywidualnych; umęczonym tęsknotą pokazał podobną tęsknotę. Głos nędzarzy, niemających nad głową dachu, zgłodniałych, rozczarowanych marnością życia, miotających się na wszystkie strony świata w tej włóczędze, która stała się ich żywiołem, rozbrzmiał, jak echo, w duszach nędzarzy innych, stojących na szczycie kultury, rozczarowanych niemniej marnością życia, pozbawionych opiekuńczego ideału, potrząsających łachmanami wszystkich teoryj, skazanych na włóczęgę ducha, miotanych wieczną tęsknotą. Odmalowanymi typami potrącił Gorkij najboleśniejsze struny serc wykształconego i przodującego społeczeństwu ogółu.

A jak potrafił to uczynić! On, który w dziewiątym roku życia zaledwie sylabizować umiał, mając lat dwadzieścia kilka, zawładnął skończonym językiem literackim i ożywił go jakiemś nowem, oryginalnem tchnieniem własnej indywidualności. Samouk dotyka w swoich opowieściach zawiłych kwestyj psychologicznych i filozoficznych, nie rozwiązuje ich oczywiście, często nie obejmuje wszechstronnie, bo zbywa mu na obszernej wiedzy; ale nigdy nie razi, nie popełnia błędów — owszem, zajmuje bardziej wykształconego czytelnika oryginalnem ujęciem kwestyi, uderza niekiedy głębokością świeżych pojęć. Taką jest moc naturalna pełnej jędrności, utalentowanej organizacyi psychicznej. Niema w niej równowagi — dręczą ją zawiłe „przeklęte pytania" — ale ta nierównowaga burzliwej myśli jest nadzwyczaj ciekawa i piękna...

Ale od tej ogólnej charakterystyki czas zejść do szczegółów. Żałujemy, że ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na większą ich ilość.

Oto naprzód kilka rysów z biografii:

Aleksy Pieszkow (Gorkij) urodził się 14 marca 1869 r. W czwartym roku życia stracił ojca, z zawodu tapicera. Matka wyszła za mąż powtórnie. O wychowaniu chłopca nikt nie myślał, prócz może jednej babki, która rozwijała dziecinną wyobraźnię opowiadaniem bajek ludowych. Kiedy miał lat dziewięć, oddano go do szewca. Później zamieszkiwał pod dachem dziada, skąd uciekł, zrażony okrutnem obejściem, i wstąpił do służby jako kuchcik okrętowy. Kucharz, który czytał wszystko od żywotów świętych i powieści ludowych, aż do romansów Dumasa ojca, obudził w nim pociąg do książek. Z owej biblioteki kucharza Gorkij zaczerpnął zamiłowanie do bohatersko-romantycznych czynów i pogardę dla szarej powszedniości. W piętnastym roku życia udał się do Kazania, mniemając, że przyjmą go do szkoły — sądził bowiem, że nauczanie jest obowiązkowem; nieprzyjęty, wstąpił do piekarza, który mu płacił 3 ruble miesięcznie. Tu pracuje ciężko — lecz równocześnie, gdy chleb wstawiono do pieca, czytuje głośno swym towarzyszom. Wkrótce rozpoczyna żywot włóczęgi, poznaje zblizka byt nędzarzy, jest bowiem jednym z nich, przechodzi straszne cierpienia fizyczne i moralne, próbuje sobie odebrać życie, ale kula przyprawia go tylko o chorobę. Po wyzdrowieniu handluje jabłkami, jest stróżem kolejowym, zamiata, wynosi pomyje, potem znowu sprzedaje kwas, należy do cechu malarzy pokojowych, wreszcie w Niższym Nowogrodzie zostaje pisarzem u adwokata, który zwraca na niego uwagę i poczyna go kształcić. Następnie przechodzi pieszo cały kraj Doński, Ukrainę, Besarabię, wędruje wzdłuż Krymu, obchodzi północne brzegi morza Czarnego, poczyna pisać do gazety w Tyflisie, poznaje wreszcie Korolenkę, który odnajduje w nim talent i staje się jego mistrzem. Od tej chwili zaczyna tworzyć i szybko pozyskuje sławę literacką, zaćmiewając, według wielu, dwie pierwszorzędne siły współczesnej literatury rosyjskiej — Korolenkę i Czechowa.

(D. n.).

Leo Belmont.

SZTUKA STOSOWANA.

I.

Przy zwiedzaniu wystaw sztuki w miastach zagranicznych urządzam sobie niekiedy sport — obserwuję rodaków, zwiedzających wystawę. Mamy bowiem zwyczaj niebezpieczny wypowiadania głośno swych wrażeń, pewni, że nikt nas nie rozumie, gdy rozprawiamy w języku ojczystym, a to ułatwia bardzo obserwacyę. Otóż pewnego razu w roku 1897 w monachijskim *Glaspalast* zachwycałem się parą niezmiernie dystyngowaną, rozmawiającą ze zrozumiem rzeczy a bez blagi o obrazach i rzeźbach. Kiedy wchodzili do sali, gdzie wisiał cykl obrazów Burne-Jones'a, przedstawiający „legendę o świętym Jerzym," zaniepokoiłem się cokolwiek: a nuż te niełatwo dostępne klejnoty wywołają jaką uwagę banalną! Lecz nie, zarówno przed obrazem Burne-Jones'a, jak przed akwarelami drugiego mego ulubieńca, Tooropa, para moja wytrzymała próbę — starała się zrozumieć, a to już dużo. Było to dla mnie świadectwem, że mam do czynienia z ludźmi, co nie dla formy i mody zwiedzają wystawę, lecz wyhodowali w sobie pewien kult piękna. Aliści skierowali się oboje ku salonom lewego skrzydła, ja za nimi; przeszli salon jeden i drugi, aż oto piękna pani pokręciła noskiem i rzuciła jedno słówko: „graciarnia!", poczem szybko uciekli. Otóż ta graciarnia zawierała nie obrazy, ani rzeźby, jeno stoły szafy, wazony, lampy, ekrany i t. p. A „graty" te były to dzieła sztuki w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu; były tam śliczne meble Berlepscha, szkła cudne Emila Gallé, ceramiki duńskie, dywany i portyery Obrista, bronzy Henryka Nocq i inne.

Jest to przykład typowy: dziś bowiem nawet ludzie o wykształceniu estetycznem i wyrobionem poczuciu piękna uważają za dzieła sztuki obraz i rzeźbę, zamiłowanie do wyrobów sztuki innej kategoryi pozostało już tylko w kołach archeologów i zbieraczy, a ci znów aż nadto często lubują się pięknym okazem sztuki stosowanej nie dlatego, że piękny, lecz dla „marki," dla rzadkości. Do brzegów zaś Wisły nie dotarła pono nawet wieść o tem, że na Zachodzie cały zastęp artystów zamiast smarować farby na płótnie lub lepić w glinie, wolał nauczyć się rzemiosł i tworzy dzieła sztuki, robiąc „graty."

Jeden z tych nowatorów, Belgijczyk, Henry Van de Velde, napisał teraz nader ciekawą książkę p. t. *Die Renaissance im Kunstgewerke* *), w której poucza nas, czego pragnie on i jego towarzysze, oraz jakie były dotąd koleje tej rewolucyi w dziedzinie sztuki. Z książką tą pragniemy zapoznać czytelników.

Pogląd, jakoby do „sztuk pięknych" w dziedzinie plastyki należało tylko malarstwo, rzeźba i budownictwo, jest, zdaniem autora, dowodem spaczenia poczucia piękna. Każde dzieło sztuki plastycznej może mieć tylko jedno zadanie: ozdabiać. Zawsze i wszędzie musi ono być „dekoracyjnem." To też w epokach największego rozkwitu sztuki nie czyniono tu żadnych różnic, nie znano wcale klasyfikacyi w sztuce; malowidło czy rzeźba stały na równi z piękną amforą, makatą, z ozdobą u miecza, z krzesłem pięknie rzeźbionem, a wszystko razem stanowiło — sztukę, wszystko razem służyło do upiększenia. Starożytny Ateńczyk, gdyby mógł słuchać nowożytnego profesora estetyki, napewno nie zrozumiałby, dlaczego ten mędrzec mówi tyle o obrazach i rzeźbach, dopatruje się w nich „idei" i wzniosłości, a nie wspomina ani słówkiem o innych przedmiotach piękna. Gdyby zaś tego wskrzeszonego Ateńczyka zaprowadzono do naszych „pinakotek" i „gliptotek," to jest zbiorów malowideł i rzeźb, miałby on większe prawo od mojej Warszawianki użyć wyrazu „graciarnia." Ujrzałby tu bowiem nagromadzone bez wszelkiego widocznego sensu przedmioty, wyrwane z właściwego otoczenia; te zbiory zrobiłyby na nim wrażenie lamusa, do którego usunięto rzeczy niepotrzebne, gdy tymczasem malowidło, zarówno jak rzeźba, mają za zadanie tworzyć całość wraz z gmachem. Wprawdzie moglibyśmy zaprowadzić naszego Ateńczyka do mieszkań prywatnych i pokazać mu tam... Ba, co mu pokażemy? Malowidła lub rzeźby, czyniące wrażenie róży przy kożuchu, gdyż w 999 wypadkach na tysiąc te dzieła pozostają tam w otoczeniu, które kłóci się z niemi, a przynajmniej nie ma z niemi nic wspólnego.

Tak jest rzeczywiście: mamy dziś cmentarze dzieł sztuki, muzea, galerye, albo mamy dzieła sztuki, z któremi nie wiemy, co począć; sztuka plastyczna z natury swej jak najściślej związana z życiem, wzięła z niem rozbrat, przestała być tem, czem być winna — upiększeniem naszego otoczenia.

I — rzecz dziwna — tak już zżyliśmy się z tem, że nawet nie odczuwamy całego fałszu położenia. Toż estetycy w swoich teoryach, zamiast wykazywać dziwaczność istnienia przez wieki sztuki, przeczącej rdzennym zadaniom swoim, silili się na to, by znaleźć logiczność w tem, co było samo przez się nielogiczne, i stawiać tej sztuce ułamkowej zadania, które nie mają nic wspólnego z jej istotą i którym ona dlatego właśnie sprostać nie może. Najdziwniejsza zaś: artyści sami, kapłani sztuki, pogodzili się w końcu ze swoim losem, tworzyli obrazy i rzeźby tak, jak gdyby te dzieła sztuki rzeczywiście mogły posiadać byt samoistny, były same dla siebie celem. Więcej nawet: artyści ci w dziwnem zaślepieniu odmówili wręcz miana sztuki dziełom, wykonanym bez pomocy farby lub gliny; zaprzeczyli miana artysty każdemu, kto chciał wytwarzać dzieła innej kategoryi. Najlepszym tego dowodem, że początkowo zamykano wrota wystaw sztuki przed dziełami sztuki stosowanej. Owa wystawa w „Glaspalast" monachijskim w r. 1897 doszła do skutku dopiero po zażartej walce nowatorów z malarzami i rzeźbiarzami.

Van de Velde posuwa się nawet do tego, że winę za sponiewieranie wszelkiej sztuki, po za rzeźbą i malarstwem, zwala na artystów malarzy i rzeźbiarzy, którzy uroili sobie wyższość nad artystami innej kategoryi, nazywali go pogardliwie „rzemieślniczym artystą," gdyż — obawiali się współzawodnictwa. Pogląd taki grzeszy — zdaniem naszem — przesadą. Przyczyny spaczenia pojęć o sztuce należałoby poszukać głębiej, co nie byłoby zbyt trudnem, w danym artykule wszakże nie możemy zastanawiać się nad tą kwestyą.

*) Berlin, 1901. Nakładem Brundo und Paul Cassirer.

Całą dziwaczność naszych pojęć o sztuce plastycznej, całą niedorzeczność naszej sztuki wykazał dopiero John Ruskin. Niepożytą zasługą tego człowieka pozostanie, że zdjął nam bielmo z oka, wpoił w nas tęsknotę za prawdziwem pięknem, pokazał nam, czem ona być powinna. Lecz wielki ten odnowiciel pojęć piękna grzeszył ogromną jednostronnością: dla niego istniała jedna tylko forma piękna, forma gotyku; oczy jego były zwrócone wstecz ku wiekom średnim i żądał od nas rzeczy niemożliwych: powrotu do form społecznych, które odpowiadały tym formom sztuki. Na szczęście śród uczniów mistrza znalazł się jeden, który łączył w sobie olbrzymią siłę twórczą i gorącą duszę z wielką bystrością myśli i nieugiętą energią, William Morris, poeta, malarz, myśliciel i działacz społeczny. Zrozumiał on, że najważniejsze zadanie polega na przekonaniu ludzi czynem o wyższości sztuki prawdziwej, sztuki, złączonej bezpośrednio z życiem, po nad to, co dotąd za sztukę uchodziło, że trzeba pokazać im, jak to sztuka, bezpośrednio złączona z życiem, sztuka, która staje się codzienną potrzebą, przemawia do nas ciągle i wszędzie, jest dopiero prawdziwą sztuką. Nauczył się tedy rękoczynów rzemieślniczych, a potem założył warsztat, „fabrykę sztuki,“ warsztat, w którym wyrabiano gobeliny, makaty, meble, ceramiki itd. Założył też w Londynie sklep i napisał na szyldzie „William Morris, kupiec.“ Do niego przyłączyli się inni, jak on — artyści, jak on—reformatorzy społeczni i rewolucyoniści w sztuce — Walter Crane, Cobden-Sanderson, Voysey itd. Z owej tedy fabryki, założonej w r. 1863, wychodziły dzieła „przemysłu artystycznego“; były to narodziny nowej sztuki stosowanej w Anglii.

Morris i jego przyjaciele w twórczości swojej kierowali się ściśle poglądami Ruskina, to stanowiło ich siłę, a razem słabość; i dla nich bowiem nie istniała sztuka po za sztuką wieków średnich. Gdy nowe hasła dotarły do lądu europejskiego, zmieniły się poglądy. Lecz tu wołmy powtórzyć słowa Van de Velde'a, który stał się najdzielniejszym propagatorem tego nowego kierunku. Powiada on:

„Dzieła artystów angielskich powstały pod wpływem bezpośrednim starannie wybranych najwspanialszych okazów sztuki z ostatniego okresu gotyckiego, z pominięciem wszystkiego, co powstało pomiędzy tą epoką a czasem, w którym poczęli działać sami. Dążąc wciąż wstecz, zdołali nawiązać nić zerwaną... Angielski *renaissance* jest zatem tradycyą i tylko za nią uważanym być winien; powstał on na mocy poczucia piękna kilku ludzi wyjątkowych, którym było tem łatwiej dobić się uznania dla swego kultu, ponieważ w kraju ich poczucie dla piękna gotyku nigdy nie było zamarło.

Różnica w charakterze tych dwóch ruchów odrodzenia (nb. odrodzenia angielskiego i belgijskiego) polega na tem, że artystów angielskich pociągnęła zewnętrzna piękność sztuki gotyckiej, gdy na nas podziałała twórcza strona jej piękności, jej widoma, z czystego rozumu wynikająca myśl zasadnicza. Sądzę, że u Anglików działał urok tej sztuki więcej na uczucie, u nas — na umysł. Pojęliśmy ducha gotyku ogólniej, a nie trzymaliśmy się niewolniczo tego, co stworzył on w wiekach średnich. Sądziliśmy, że prawo zasadnicze piękna jest wiecznem, i stosowaliśmy je, bez myśli ukrytej przywrócenia gotykowi świetności utraconej.

Obecne odrodzenie sztuki stosowanej silne jest dogmatem, że piękno wynika ze ścisłego i niewymuszonego prawa bytu form i środków, że przedmiot może być pięknym tylko wtedy, gdy wszystkie jego szczegóły, wszystkie upiększenia wzbogacają cel jego bytu...“

Ten pogląd na treść gotyku wyjaśnia autor dalej jeszcze w taki sposób:

„Prawa te (tj. prawa gotyku) są krótkie i zrozumiałe. Pełne jasności i potęgi, zmuszającej twórcę do posłuszeństwa, domagają się one ścisłej logiki w budowie przedmiotów, nieubłaganej logiki w zastosowaniu materyałów: drzewo, metal, tkanina, szkło. Domagają się dalej te prawa dumnego i otwartego wystawiania na pokaz środków tworzenia; sposób, w jaki obrabiano te materyały i w jaki spajano części składowe, musi być widocznym; w końcu — musi istnieć sumienna równowaga pomiędzy ornamentyką a powierzchnią przedmiotów, dla których jest przeznaczona. To wszystko. Takiemi były prawa w czasach, z których czerpiemy wzory, i takie stosujemy dziś, jako wieczni wielbiciele tego przedziwnego ducha gotyckiego, który żyje w duszach naszych, w duszy naszej rasy, nieznoszącej rzeczy bez ładu i porządku, rzeczy podejrzanego wyglądu i bez równowagi.“

Wychodząc z tego założenia, poznajemy tedy całą brzydotę tych sprzętów i naczyń domowych, jakimi otoczyli nas dostawcy, fabrykanci tych przedmiotów. Cała produkcya kapitalistyczna oparta jest na tumanieniu spożywców, więc też zamiast piękna dano nam blichtr i szych. Fabrykant kortu, zamiast tkaniny wełnianej, sprzedaje nam ją z przymieszką bawełny, lub tkaninę wełnianą, wyrobioną ze starych gałganów. Tak samo też fabrykant mebli sprzedaje nam sprzęty z naklejonymi „fornierami,“ w których sosna otrzymuje pozór mahoniu. Brzydota tych sprzętów zostaje pokryta przez różne dodatki, nic nie mające wspólnego z formą zasadniczą. Słowem — blichtr i szych. Pierwszem więc zadaniem, jakie postawić sobie musi artysta, jest wyrugowanie tego fałszu, bezwarunkowe potępienie wszelkich ozdób, niezwiązanych organicznie z całokształtem przedmiotu.

Zasada wyłuszcza też, w jakim kierunku szukać należy nowych form. Wyrzekając się wszelkich sztucznie wytworzonych „stylów,“ należy dążyć do form pięknych, wynikających z przeznaczenia przedmiotu oraz z materyału, jaki został użyty. Otóż Van de Velde powiada nam, że on i towarzysze jego — a jest ich już dziś zastęp liczny — dla swoich dzieł sztuki wzięli przedewszystkiem wzory od— inżenierów! Ci twórcy nowej architektury kierowali się nieświadomie owem prawem zasadniczem. Tworząc mosty żelazne o bajecznie śmiałych łukach, budując lokomotywy, welocypedy, wszelkiego rodzaju maszyny, dążyli oni głównie do tego, by stworzyć rzecz, ściśle odpowiadającą wymaganiom użyteczności, lecz postępując tak, musieli też natrafić na owo zasadnicze prawo estetyki i tworzyli w ten sposób rzeczy prawdziwie piękne. Pogląd taki zapewne wyda się herezyą najokrutniejszą wszystkim, co przywykli uważać mechanikę i inżenieryę z jednej strony, a sztukę — z drugiej, za rzeczy krańcowo przeciwległe. A już na pewno dziwactwem wyda się, gdy przeczytają u Van de Velde'a zdanie takie: „Do przedmiotów, których piękność pociągała nas i za wzór służyła, należą też pierwsze angielskie wózki dziecięce, części składowe urządzeń kąpielowych, lampy elektryczne, narzędzia chirurgiczne itd.“ A jednakże po bliższem zastanowieniu staje się to zupełnie zrozumiałem, gdyż w rzeczy samej przedmiotom tym nadano formy niezmiernie proste, wykwintne, linie zdumiewająco harmonijne. Dosyć też spojrzeć na sprzęty np., wytwarzane przez Van de Velde'a, aby odnaleźć ślady owych pierwowzorów. Mają one bowiem zawsze linie wielkie, łagodne, proste; wszystkie części są doskonale zharmonizowane, żadnych wywijasów i zakrętów, żadnych np. gzymsików, filarków zbytecznych, udających podpory, a właściwie nie służących do niczego. To samo zaś stosuje się do innych przedmiotów. Dlaczego np. dywan, po którym stąpamy, ma udawać kwiaty? Dlaczego wazon, do którego kładziemy kwiaty, ma mieć kształty dziwaczne, udawać np. łabędzia? Po co wszystkie te lwie paszczęki, orły, karyatydy? Nie, zadanie polega właśnie na tem, by wynaleźć formy niezapożyczone znikąd a odpowiadające celowi przedmiotu. Zdawaćby się mogło, że w ten sposób niezmiernie ograniczamy różnokształtność i dojdziemy do nudnej jednostronności. Tak jednakże nie jest. Najmniejsza zmiana w formie zasadniczej jakiegoś przedmiotu pociąga za sobą natychmiast, jeżeli w konstrukcyi kierujemy się logiką, zmiany wszystkich części składowych; z czego wynika, że różnorodność form jest tu nieskończenie wielka.

Dalej zaś wynika z owego założenia, że możemy i musimy uwolnić się od ciasnoty, jaką nam narzucili nasi dostawcy sprzętów. Mają oni kilka gotowych szablonów: styl Ludwika XIV, Ludwika XV, Ludwika XVI, styl *empire*, styl staro-niemiecki— i koniec na tem. Wmawiają przeto w nas, że innych form piękna znaleźć nie można. Tymczasem z owego prawa zasadniczego, jakie formułuje Van de Velde, wynika, że formy piękna są nieskończenie rozliczne. A jeżeli tak, to mamy możność tworzyć sprzęty i całe otoczenie w naszem mieszkaniu tak, aby odpowiadało najzupełniej naszym indywidualnym upodobaniom, naszemu temperamentowi, słowem, naszej osobowości.

Odpowiadają na to, że tego nigdy nie będzie, ponieważ nie każdy z nas ma w sobie tyle poczucia piękna i wynalazczości, by sprostać takiemu zadaniu. Słusznie powiada Van de Velde, że gdyby tak było rzeczywiście, trzebaby przyznać, iż cywilizacya sprowadziła nas na poziom niższy od tego, który przyznać musimy człowiekowi pierwotnemu. Lecz tak nie jest. W każdym z nas, jakkolwiek przytłumione, żyje poczucie piękna i dar wynalazczy w dziedzinie ornamentacyi, chodzi tylko o to, aby ten zmysł był odpowiednio wyhodowany, ku czemu służyć winno nauczanie rysunku, zaznajamianie z wyrobami i narzędziami rzemiosł. Odrodzenie w dziedzinie sztuki do tego celu doprowadzić powinno.

Baltazar.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— H. Orsza: *O naszych pierwszych książkach, dawnych szkołach i uniwersytecie krakowskim.* Str. 136. Warszawa, 1901 r.

Popularyzowanie rzeczy naukowych nie jest tak łatwem, jakby się, sądząc z pozoru, wydawać mogło. Autor, który pragnie, by wyłożony przez niego przedmiot mógł być odrazu zrozumiany przez mniej wykształcony ogół czytelników, musi odpowiadać odrębnym warunkom, do których zaliczamy nietylko powszechnie wymaganą doskonałą znajomość przedmiotu, ale i dokładną ocenę umysłu jednostek czytających, oraz uzdolnienie pedagogiczne pisarza. Polega ono na umiejętności zainteresowania czytelnika przez rozwinięcie przedewszystkiem tej strony przedmiotu, która go zająć może, jak również na wyrażeniu myśli i odmalowaniu obrazów w słowach i barwach całkowicie dostępnych.

Powyższym wymaganiom H. Orsza czyni zupełnie zadość, czego poniekąd dała już dowód we wszystkich dawniej ogłoszonych drukiem książeczkach popularnych. Ostatnie jej dziełko p. t. „O naszych pierwszych książkach...“ wykazuje w całej pełni popularyzatorski talent autorki. W pracy tej Orsza daje nam właściwie obraz oświaty polskiej w wiekach średnich, nietylko wyliczając najdawniejsze zabytki piśmiennictwa, ale i malując stan szkolnictwa średniowiecznego; przytem szczegółowo kreśli założenie, stan i działalność w XV w. Akademii krakowskiej, zaznajamia czytelnika z prądem hu-

manistycznym u nas, mówi o pierwszych drukach naszych, kończy zaś rzecz swą poglądem na rozwój cywilizacyi w XVI wieku.

Czytelnika uderza tu przedewszystkiem dziwnie prosty i jasny sposób wykładu i umiejętność dostępnego tłomaczenia rzeczy, z natury swej dość trudnych dla mniej wykształconego umysłu, jak np. scholastycyzm albo humanizm, prądy, często nawet w podręcznikach do historyi literatury określane w sposób zawiły. Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że autorka niekiedy za wiele i zbyt drobiazgowo mówi o faktach mniejszego znaczenia, a tem samem nie zachowuje względnej równomierności w opracowaniu części przedmiotu; po głębszej atoli rozwadze musimy dojść do wniosku, że taki system, świadomie przyjęty przez autorkę, jest konieczny w tym razie, ponieważ właśnie położenie nacisku na takie szczegóły, jak np. pisanie i ozdabianie rękopisów średniowiecznych, astrologia i czarnoksięstwo, tryb życia żaków krakowskich, praktykowane wśród nich widowiska, otrzęsiny itd., nietylko urozmaica tok opowiadania, ale i przyczynia się znakomicie do zainteresowania przedmiotem czytelnika, któremu opisy takich właśnie faktów dadzą dostateczne pojęcie o charakterze epoki.

Dzięki sumiennym studyom autorki nad literaturą średniowieczną polską, błędów faktycznych książka jej nie posiada prawie. Wprawdzie głośny fizyk Witello żył w XIII wieku, nie zaś XIV-ym, jak powiedziano na str. 28, ale błąd ten, zdaje się, należy przypisać raczej niedopatrzeniu korektora; pierwsze pisane zabytki mowy polskiej pochodzą nie z końca XIII (str. 30), lecz dopiero z XIV w. (do tego czasu mamy tylko pojedyncze wyrazy w tekstach łacińskich); wreszcie najdawniejszy odpis pieśni Bogarodzicy pochodzi z połowy, a nie z początku XV w. (str. 31), jak mniemano powszechnie do niedawna. Te atoli drobne niedokładności nie zmniejszają wcale wyżej wymienionych zalet, do których dodamy jeszcze jedną, bardzo cenną — gorące umiłowanie przedmiotu, które czytelnik z pewnością odczuje i podzieli. *N.*

— Lamary: *Fijołki*, poemat wiosenny. Warszawa, 1901 r.

„Czy ja marzę? czy miraże senny wzrok zaćmiły mój? Aniołowe widzę twarze i srebrzystych świateł zdrój... A w tym mroku, w sfer obłoku (?) ukochana twoja twarz w niepochwytnym swym uroku obejmuje marzeń straż"... Na stu stronicach, niedużego na szczęście formatu, ogromnie wielomówna autorka opowiada dzieje jakiejś nieszczęśliwej miłości, ogłuszając czytelnika istną kaskadą rymów i słów, w której szumie ginie chwilami w zupełności treść, sens, myśl przewodnia i wszystko, co chcecie. Rozumiemy, że w tak dalece miłosnym poemacie muszą koniecznie, jak w „Przedświcie" Krasińskiego, występować i „gór błękity," i „srebrzysty księżyc czysty," i „jezior tonie," i nawet — i to niejednokrotnie — „moja święta w aureoli złotej włosów," — co jednak znaczą tam wyrażenia w rodzaju: „*w* przebaczenia znak" (str. 79), lub takie formy gramatyczne, jak *więdnieją, bledniejq* (str. 93) lub wreszcie porównania i przenośnie w takim oto guście: I od słońca tak świetlisty (gaj), jak *królewskich łożnic trony*? Wyznaję w pokorze ducha, że tej „postaci mownej" zrozumieć jakoś nie mogę.

Gotowi bylibyśmy jednak nie robić autorce zarzutu z powodu tych wszystkich reminiscencyj Krasińskiego, wykroczeń przeciw logice i, jak mówi autor „Beniowskiego," niegramatycznościów, gdyby nie zakończenie, przechodzące już nie w naśladownictwo, lecz w zwyczajny plagiat przecudnych „Dzwonów" Kornela Ujejskiego. „Hej tu do mnie, czarna rzeszo!!! Bliżej, bliżej jeszcze! Niech się oczy twe nacieszą. Jak ja ją upieszczę!!!" — „Bronić chcecie?! To paradne! Kto ma prawo do niej?!! Stójcie! raczej trupem padnę, nim mi jej kto wzbroni!.." — „Precz!!! Pierwszemu, kto mnie ruszy, twardy łeb rozwalę!!! Ta dłoń... patrzcie! głazy kruszy!!! Precz!!! z drogi! szakale!!!" „Wzięli mi ją!!! o nędznicy!!! Zabrali przemocą!!! Mnie wynoszą gdzieś z kaplicy.. Gdzie?.. dlaczego? poco?.." — itd.

Że też rozfiolkowana autorka nie miała nikogo życzliwego, ktoby jej w czasie właściwym zwrócił uwagę, że nawet trzy tuziny wykrzykników istoty rzeczy nie zmieniają, i że takich parodyj czy parafraz utworów wielkich poetów robić wprost — nie wolno, że jest to grzech względem naszych mistrzów słowa i w dodatku — grzech bardzo brzydki. *Wł. B.*

POEZYE

Ostatnia wola.

Może zechcecie?.. I owszem... wolę
Leżeć za progiem cmentarnych bram,
Lecz krzyż postawcie na moim dole —
Do krzyża — prawo mam!

Wieńców na trumnie nie mają mierni,
Mój los mi nie dał wawrzynów rwać,
Ale męczeńską koronę z cierni!..
Tę mi możecie dać...

O! nie wdziewajcie na martwe ciało
Śmiesznych dla trupa powszednich szat —
Tylko je w płachtę spowińcie białą
I na twarz rzućcie szmat.

Niech nie znieważą twarzy mej w trumnie
Spojrzenia ludzkie, jak roje much,
Kiedy już na tłum nie spojrzy dumnie,
Bo z niej już wyjdzie duch.

Po co ma śpiewać psalm pogrzebowy
Za moją trumną idący chór?..
Mnie zagra w organ wicher stepowy
I drzew zielonych wiór.

Za świetny dla mnie kamień rzeźbiony,
Za piękny ogród kwitnących traw...
Lecz świerk na piasku wiecznie zielony,
To symbol dla mnie — praw!

Kilka łez spadnie na grobu ciosy
I na nich płaczu ludzkiego kres —
Lecz dżdże go będą zlewać i rosy,
Trwalsze od wszelkich łez...

Przy moim trupie zbyteczne świece:
Marne ich światło, nikczemny łój.
Dla mnie zapali inne gromnice
Gwiazd nieśmiertelny rój.

Marya Grossek.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Od jesieni w gub. Mińskiej, Witebskiej i Mohylewskiej mają być ustanowieni naczelnicy ziemscy. Powiatowe urzędy do spraw włościańskich będą zniesione i zastąpione przez zjazdy powiatowe, a gubernialne urzędy do spraw włościańskich włączone do urzędów gubernialnych.

— Według orzeczenia senatu, Żydzi, którzy prowadzą handel po za granicą swego osiedlenia, wbrew ogólnym postanowieniom prawnym podlegają karze według § 1171 k. k., chociażby nawet otrzymali pozwolenie na prowadzenie handlu od władz administracyjnych.

— Inżenier Mielnikow odkrył podobno — według doniesienia *Russ. Słowa* — że drożdże, doprowadzone do silnej fermentacyi pod działaniem pewnych czynników chemicznych, wytwarzają z siebie tyle gazu, iż ten może służyć jako siła motorowa.

Szkoły. Ministeryum oświaty postanowiło, że osoby, które zdały egzamin wstępny do szkoły średniej, lecz dla braku miejsca nie zostały przyjęte, mają prawo do otrzymania świadectwa z klasy lub klas poprzedzających tę, do której egzaminowany chciał wstąpić.

— W ministeryum oświaty ma być cztery departamenty, z których jeden zarządzać będzie średnimi i wyższymi zakładami naukowymi, drugi — szkołami niższemi i ludowemi, trzeci — technicznemi i profesyonalnemi, a czwarty stanowić biuro ministra i spraw ogólnych.

— Minister oświaty polecił kuratorom okręgów naukowych przyjmować studentów wydalonych z uniwersytetów w czasie zaburzeń studenckich w r. z. Prośby składane być winny na ręce rektorów.

Reforma szkolna. Na posiedzeniu komisyi reformy szkoły średniej, odbytem d. 18 czerwca, rozpatrywano rozkład lekcyj w gimnazyach i szkołach realnych, do których z początkiem roku szkolnego zamierzono wprowadzić nowy program. Postanowiono znieść język łaciński w I-ej i II klasie, grecki — w III i IV. Inne klasy zatrzymują dawny program. W dwóch niższych klasach gimnazyum wprowadzona będzie nauka geografii, w I-ej i II realnej — nauka historyi. Oprócz tego ma być wzmocniony w klasie I-ej wykład matematyki, a w II — geografii i nauk przyrodniczych.

W dalszym ciągu posiedzeń komisyi rozpatrywano kwestyę przygotowania nauczycieli dla szkół zreformowanych. Komisya uznała za niezbędne pozostawić kończącym uniwersytet prawo odbywania studyów uzupełniających, teoretycznych i praktycznych. W tym celu należy urządzać dla nich kursa i seminarya przy okręgach naukowych, oraz przy oddzielnych szkołach średnich, wreszcie kursa poszczególnych przedmiotów. Nadto projektowane jest wprowadzenie wykładów: historyi, pedagogiki, psychologii i logiki nietylko na fakultetach historyczno-filologicznych, lecz i na innych. Wykazywano też potrzebę urządzania zjazdów nauczycieli jednej specyalności i wogóle ożywiania ruchu wśród sfery pedagogicznej. Dalej uznano za pożyteczne założenie w Petersburgu centralnego muzeum pedagogicznego, biblioteki, czytelni, przy których odbywałyby się kursa i zjazdy. Muzea takie mogłyby istnieć i w innych miastach. Projekt założenia instytutu pedagogicznego nie zyskał uznania.

Prasa. Ministrowie spraw wewnętrznych, oświaty, sprawiedliwości, oraz oberprokurator najświątobliwszego synodu, na naradzie odbytej w d. 20 czerwca postanowili zamknąć zupełnie wydawnictwo czasopisma *Żizń*, wychodzącego w Petersburgu.

Zdrowie publiczne. Komisya, utworzona w państwie rosyjskiem do walki z dżumą, ogłasza, że cały Egipt, z wyjątkiem Port—Saidu, kanału Suezkiego i Suezu zaliczony jest do miejscowości dotkniętych tą zarazą.

Konkurs. Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujący temat dla współubiegających się w latach 1901—1903 o nagrodę im. Chojnackiego za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu: „Kobieta jako członek rodziny i społeczeństwa," z nadmienieniem, iż pożądane jest wyświetlenie kulturalnego posłannictwa i prawnego stanowiska kobiety. Nagroda wynosi 900 rb. i wypłacona ma być autorowi po złożeniu w uniwersytecie 150 egzemplarzy drukowanych i pod warunkiem, że broszura puszczona będzie w obieg po cenie dostępnej dla czytelników stanów niższych. Prace nadsyłać należy najpóźniej do 13 maja 1903 r., w druku lub rękopisie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim albo polskim pozostawia się uznaniu autora. Jeżeli autor, dla otrzymania przyznanej mu nagrody, przedstawi swą pracę w polskim przekładzie z ocenionego przez wydział urzędowego oryginału rosyjskiego, to do dzieła powinno być dołączone potwierdzenie wydziału historyczno filologicznego o zgodności zupełnej przekładu ze wspomnianym tekstem oryginalnym.

H. K. T. Rektor uniwersytetu w Gryfii rozwiązał tamtejsze polskie stowarzyszenie studentów „Adelfia," a minister oświaty rozporządzenie to zatwierdził. Rozwiązanie stowarzyszenia nastąpiło wskutek oskarżenia, że bierze udział w agitacyi polskiej.

— W Essen do urzędu cywilnego zgłosił się robotnik, Marcin Ratapczak, Polak, w celu zapisania do ksiąg nowonarodzonego swego syna. Urzędnik pruski imię dziecka Tadeusz Floryan chciał zapisać według ortografii niemieckiej, Taddeus Florian; gdy Ratapczak domagał się zachowania pisowni polskiej, odmówił sporządzenia aktu. Skoro minął czas prawnie wymagalny do zapisania w urzędzie nowonarodzonych, Ratapczak został skazany na karę 3 marek za niedopełnienie powinności. Sprawa poszła do sądu i ostatecznie Ratapczaka od wszelkiej kary i odpowiedzialności uwolniono. (*Frankf. Ztg*).

Ruch kobiecy. W Wiedniu odbyło się zebranie, na poczcie i w telegrafie pracujących kobiet. Zdaje

się, że położenie tych blizko 3,000 na służbie państwowej w Austryi pozostających urzędniczek jest wcale nie do pozazdroszczenia. Większość musi poprzestać na pożywieniu, składającem się tylko ze słoniny i chleba i cierpieć nędzę nieopisaną, jeśli po trzydziestu latach służby wyższej pensyi nad 80 koron dobić się nie może. Zebranie, liczące około 400 członków, zawotowało konieczność podwyższenia dotychczasowego wynagrodzenia o 6—8 koron miesięcznie dla pozostających od dwóch do pięciu lat na urzędzie, a następnie do podniesienia pensyi do wysokości 100 koron.

— Na stanowisko ogrodnika miejskiego w Braunfels powołaną została panna Karłowska, uczennica szkoły ogrodniczej w Marienfelde. Inna uczennica tejże szkoły, panna Kniszewska ze Szczecina, studyuje botanikę i chemię w uniwersytecie zurychskim.

— W Chelsea, w Londynie, istnieje szkoła z kursem dwuletnim, która kandydatkom do stanu małżeńskiego daje odpowiednie wykształcenie fachowe: uczy je gotować, prać, prasować, szyć suknie, czyścić kapelusze, doglądać chorych i dzieci. Prócz powyższych wiadomości zaznajamiają się z różnemi metodami nauczania i wychowywania dzieci.

— W Petersburgu otwarto pierwszą aptekę, założoną przez kobietę, p. Leśniewską.

— Najwyższy trybunał administracyjny w Wiedniu orzekł, że kobietom lekarzom przysługuje prawo głosu i wybieralności na wyborach do Izb lekarskich.

Przemysł i handel. Wyszło rozporządzenie, ażeby papiery towarzystw handlowych i przemysłowych, w których założeniu lub zarządzie uczestniczą poddani niemieccy, były wprowadzane na giełdy rosyjskie tylko za specyalnem zezwoleniem ministra skarbu.

Koleje i komunikacye. P. Julian Tański, urzędnik ministeryum komunikacyj, delegowany na wystawę paryską w celu zbadania głównlejszych działów gospodarki kolejowej, złożył obecnie władzom wyższym wyczerpujący referat w tej sprawie, w którym dał obraz udoskonaleń, jakie na kolejach francuskich poczyniono w ostatnich czasach w technice kolejowej i związanej z nią szybkości ruchu (jak się okazuje największej dziś w Europie), oraz w organizacyi służby kolejowej, organizacyi o wiele wyższej, niż na kolejach naszych. W ostatnich czasach zostały tam zaprowadzone znaczne zmiany taryfowe dla pasażerów i towarów. Nadto ulepszono warunki bytu służby kolejowej pod każdym względem; zwiększono jej płacę, zmniejszono godziny robocze, zaprowadzono kasy emerytalne, towarzystwa kooperacyjne, urządzono tanie mieszkania itp., słowem, uczyniono wszystko, co u nas dopiero czeka na reformę, a znajduje się w stanie opłakanym.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Stan. Róg. Dziękujemy, lecz z nadesłanego korzystać nie będziemy.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dalszy ciąg dzieła p. t. **Wiek XIX**: „Wiek cudów,“ część II, ark. 7—12.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюня 1901 г. Druk K. Kowalewskiego Warszawa, Mazowiecka 8